

DUNAJEC

NOWOSĄDECKI MAGAZYN ILUSTROWANY

LIPIEC 1980

Cena 4 zł



W paradnym góralskim stroju zjawił się ostatnio ANDRZEJ HANIACZYK u Prezesa Rady Ministrów, by odebrać nagrodę za sukcesy artystyczne w pracy z małymi Orawianami. „Dunajec” serdecznie gratuluje wysokiego wyróżnienia szanowanemu pedagogowi z Jabłonki, który już od ćwierć wieku rozśławia folklor umiłowanej przez siebie ziemi.

Z okazji Lipcowego Święta życzymy naszym Czytelnikom satysfakcji z tego, co robią dla wspólnego dobra Polski i Polaków.

Fot. STANISŁAW SMIERCIAK

Dni „Gazety Południowej”

W dniach 20—22 czerwca w Nowym Sączu odbywało się piąte już święto „Gazety Południowej”. W tym czasie mieszkańcy i goście Nowego Sącza mogli uczestniczyć w wielu interesujących imprezach: kulturalnych, rozrywkowych i rekreacyjno-sportowych. Każdy znalazł dla siebie coś interesującego.

Dla miłośników folkloru przygotowano IV nowosądecki kiermasz sztuki ludowej, na którym swoje prace prezentowali artyści amatorzy — malarze i rzeźbiarze z całego województwa.



Podczas Święta „Gazety Południowej” w Nowym Sączu

Fot. STANISŁAW ŚMIERCIAK

Na estradach Nowego Sącza i kilku innych miast województwa prezentowali się również znani artyści scen warszawskich w programie „Autobus artystyczny”.

W stolicy województwa nowosądeckiego miał swoją metę międzynarodowy rajd weteranów szos — „Krak’ 80”. Z imprez sportowych warto odnotować trójmecz piłkarski „oldboyów” o puchar „Gazety Południowej” i spartakiadę międzykolonijną.

W ramach obchodów święta odbyło się w Komitecie Wojewódzkim PZPR w Nowym Sączu spotkanie przedstawicieli władz polityczno-administracyjnych województwa i miasta z zespołem redakcyjnym „Gazety Południowej”, osobami wyróżnionymi przez redakcję medalami „Za mądrość i dobrą robotę” oraz laureatami nagród literackich klubów twórców i działaczy kultury sądecka „Kuznica” i nowosądeckiej jednodniówki „Dunajec”. (saw)

(Dziennik Polski)

Krynica zdrowia

Mówią: JACEK MILEWSKI — dyrektor i JANUSZ GRĄDALSKI — naczelny lekarz sanatorium „Budowlani” w Krynicy:



Co widać ze Sącza?

Jest lato. Niebawem, jak zwykle o tej porze, w ciepłe wieczory na ekrany telewizorów wjdą kombajny. Znamy ten stereotyp. Jadą szerokim, ukośnym rzędem, każdemu towarzyszy ciągnik z przyczepą. Raznie warczą od lasu. Nagle jeden staje. Zatrzymuje go czasem jakiś przeważnie zgrabny, bystry pan w kurcie khaki, z mikrofonem. Kombajnista schodzi, zdejmując beret i spogląda niepewnie to na Zgrabnego, to na nas. Zgrabny z dużym wyrobinem funduje mu grabę, podsuwa sitko i kordialnie, jak to on, swój chłop niby — pyta:

- No, jak w tym roku, żyto sypnie? Indagowany (już całkiem niepewnie): — To jęczmień...
- To znaczy jęczmień, no jak, sypie? — pohukuje Zgrabny.
- No...
- To znaczy, sypie. To dobrze, to dobrze... A powiedzcie, czego wam potrzeba?
- No... — zastanawia się indagowany i właśnie gdy ma coś powiedzieć, Zgrabny szybko podrzuci:

PISZĄ O NAS

— Budynek sanatorium położony jest wysoko ponad miastem. Przy wzrastającym zanieczyszczeniu powietrza ma to duże znaczenie. Efektowna architektura została dobrze wkomponowana w krajobraz. Można powiedzieć, że „pięści oko” i zaspokaja potrzeby prestiżu. Ze względu jednak na swój nieco śród-

Głównym celem tej barwnej imprezy jest prezentacja, zachowanie, rozwój kultury materialnej i duchowej regionu Orawy, a także kultywowanie pięknych tradycji związanych z pasterstwem.

Na przykład po raz pierwszy pokazano w tym roku obrzęd wyprowadzania bydła z zagród na hale, jak również zapomniane już niemal obrzędy zwane „strachami orawskimi”.

Ciekawa kultura Orawy prezentowana była także w konkursie na poezję gwarową o tematyce pasterskiej, w którym zwyciężyli Emil Kowalczyk z Lipnicy i Jan Laciak z Chyżnego. Zorganizowano również konkurs dla dzieci na malarstwo na szkło; ten rodzaj sztuki ludowej ma na Orawie bogatą tradycję. W konkursie wzięło udział 40 dziewcząt i chłopców, a jego plonem jest około 250 obrazów.

(saw)

(Dziennik Polski)

Spółki wodne

W woj. nowosądeckim zarejestrowanych jest 5 spółek wiejskich i 33 gminne spółki wodne. Ogólny obszar zmierzających użytków rolnych znajdujących się pod ich opieką wynosi blisko 26 000 ha gruntów ornych i użytków zielonych.

Jak wykazały badania, 60—70 proc. robót w zakresie konserwacji urządzeń seczogólnych wykonuje się w województwie nowosądeckim w ramach robót płatnych, które pod względem technicznym nie budzą większych zastrzeżeń. Pozostała część urządzeń konserwowana jest w ramach tzw. świadczeń rzeczowych przez zainteresowanych członków spółek wodnych. Jakość tych robót niestety pozostawia wiele do życzenia.

HENRYK WIŚNIEWSKI

(Dziennik Ludowy)

Prawdziwie czy na niby?

Musimy pielęgnować kulturę góralską i dbać, żeby nie przepadła. Kulturę tę oderwano od źródeł, czyli od gór. Kultura górska wywodzi się z pastersztwa, z hal, z wypasu owiec, tam powstał taniec, śpiew i obyczaj. Nie w chałupie, tylko na hali. Tym śpiewem — bądźto głośnym, żeby można go było na sąsiedniej hali usłyszeć — wyrażano miłość, nienawiść, smutek, a teraz wygnano owce z gór, więc gdzie

mamy do siebie krzyczeć? Na hali nie wolno, na ulicy nie wolno, zaraz się pałą za zakłócenie porządku dostanie, uszędzie same zakazy, pozostaje śpiewanie na scenie, a to już jest na niby. W tej sytuacji Dom Ludowy musi ratować co się da, choćby tylko w tej postaci dostępnej. (Mówi STANISŁAWA GALICA-GÓRKIEWICZ, prezeska Domu Ludowego w Bukowinie Tatrzańskiej).

HANNA KRALL

(Polityka)

Inwestowanie z głową

Można w województwie znaleźć wiele przykładów należytego przygotowania i realizacji inwestycji oraz osiągania dobrych efektów.

Zakład metalurgiczny (kuźnia) Fabryki Maszyn Wiertniczych i Górniczych „Glinik” w Gorlicach, wybudowany kosztem 1,4 mld zł, przy stosunkowo krótkim cyklu inwestycyjnym został oddany do eksploatacji w planowanym terminie, a przy tym uzyskał pełną planowaną zdolność produkcyjną o dwa miesiące wcześniej niż przewidywał harmonogram. Uzyskanie przed terminem planowanej zdolności produkcyjnej pozwoliło na zmniejszenie kosztownego importu wartości ok. 7,5 mln zł dewizowych. Zakład ten wyprodukuje rocznie 35 tys. ton odkuwek wartości blisko 1 mld zł. Podobne efekty uzyskano przy budowie Zakładów Ceramiki Budowlanej w Biegoniach, które będą produkować rocznie 35 mln jednostek ceramicznych.

BOGUSŁAW LESIEWICZ

(Życie Partii)

Hale bez owiec

Z owcami Tatry były inne. Od Morzkiego Oka do Doliny Chocholowskiej słyhać było dzwoneczki, nawoływanie juhasów. Na pastwiskach używanych przez owczy i krowi nawóz rosły kwiaty, a na każdej hali stała koliba. Teraz cała ta egzotyka przeniosła się w Sudety i częściowo w Bieszczady, chociaż tam również coraz mniej owiec. Tulań, w Tatrach, pasą się jeszcze na południe od Witowa, na terenach pozostających w rękach indywidualnych rolników.

Czy muszą podhalańskie owce wędrować co roku poza swoje rodzinne strony aż w Sudety, skoro na naszych górskich halach mogłyby się ich wypaść z powodzeniem 10—20 razy więcej niż się wypasa?

M.K.

(Chłopska Droga)

Święto pasterskie na Orawie

Ziemia orawska, na której gości około 30 tys. turystów, a przejeżdża tędy ponad 1,5 miliona, już po raz siódmy obchodziła „Święto pasterskie”. Na jego program złożyły się m. in. popisy 18 kapel regionalnych — w tym 7 dziecięcych, instrumentalistów grających na unikalnych instrumentach, recytacje poezji orawskiej, pokazy obrzędów pasterskich i zabawy ludowe.

Rozmawiał: MIECZYSLAW GORSKI

(Fundamenty)

zrenionym gdzieś głęboko zwyczajem poklepywania chłopca. To grzech mieszczuchów. Trwały, bo wygodny dla większości. Przyjemnie z głębokości fotela obejrzeć sprawnie kombajny. Czasem mieszczuch z udanym współczuciem skonstruuje suszę lub powódź, lecz co go to w gruncie rzeczy obchodzi. On nie widzi związku między rolnikiem — człowiekiem a tym, co ma na talerzu, bo jemu talerz ma napełniać państwo. Odmiana gorsza, kulturoln, skłonny jest natomiast skwapliwie wiać rolnika (nazy-

Samemu rolnikowi nie trzeba jednak tłumaczyć, że „rośnię mu” przede wszystkim w rękach. On to czuje i rękami, i grzbietem. Dlatego większość małych rozmówców ze wsi łyżyma się na wspomnienie spłonych pejzaży pola z ekranu. Rolnicy jako ludzie i gospodarze też mają swoje wady i też lubią ponarzekać. W sytuacji jednak, kiedy jako społeczeństwo oczekujemy od nich wiele, nie możemy dziwić się ich zderzaniu na widok stereotypowego obrazka rolnika w konfrontacji z przyziemnymi, czasem wręcz prymitywnymi kłopotami co raz to zwalającymi się im na głowy. Kłopotami niegodnymi naszego nowoczesnego i wysoko zorganizowanego państwa. Jednostki obsługi rolnictwa wskaż tu na dostawców i producentów, ci na kooperantów, ci na swoich kooperantów. Zamknięty krąg? Bynajmniej. Łańcuch musi się gdzieś zaczynać. Bez wygodnego wskazywania na mityczną „górnę”.

Ulubionym zwrotem letnich reporterów jest „a gdzie indziej trzeba jeszcze sięgnąć po tradycyjną kosę”. Dalibóg, powiada mój znajomy, żeby chociaż te kosy zawsze były!

WAŁAW RACZKOWSKI

Włączasz — i wszystko jasne!

Zegnają się, Zgrabny z uśmiechem, kombajnista z ulgą. Intencja takich informacji z corocznych batalii o plony jest tyleż szlachetna, co ich skutek chybotliwy. Zastanawiam się: czy bardziej deformują one wyobraźnię mieszczuchów, czy bardziej irytują rolników, o ile ci w ogóle mają czas telewizję oglądać? Przecież aż bije z nich owym dobrotliwie-protekcjonalnym stosunkiem do chłopskiego trudu, może już nie uświadamianym, ale zako-

wa go wtedy chłopem lub wsią) z dwiema pieniędzmi, płynącymi na zasadzie „chłop śpi — a w polu mu rośnie”. To kulturowo, wzmacniając brakami na rynku żywnościowym, prowadzi tu i ówdzie nawet do powstawania swego rodzaju nastrojów antychłopskich. Przerażająca głupota. Tym smutniejsza, że przejawiana, niestety, także i przez niektórych chłopskich synów. Mimo to wolą oni jednak wychodzić z roboty o trzeciej. I włączyć telewizor.

Zdrowie narodu to jedna z tych wartości, do których od dawna odnosimy się z największą troską. Powszechnie znany jest ogromny dorobek Polski Ludowej w tej dziedzinie. Od pierwszych izb porodowych na wsi po obecnie przywileje dla matek; od szerokiego otwarcia sanatoriów i domów wypoczynkowych dla ludzi pracy do objęcia bezpłatną opieką lekarską i powszechnymi świadczeniami socjalnymi mieszkańców wsi; od wykształcenia nowych kadr służby zdrowia po sukcesy wybitnych przedstawicieli polskiej medycyny — przeszliśmy szmat drogi.

Nie wszyscy pamiętają, z jakiego pułapu startowaliśmy. Przypominamy wiekowe zaniedbania, bo młodszej części społeczeństwa są one mniej znane, a i starsi skłonni są czasem zapomnieć o niewątpliwych zdobyczkach, które spowszedniały, bo są, bo oswoiłymi się z nimi. Bez skali odniesienia, bez odwołania się do gorzkiej przeszłości niczego w Polsce współczesnej zrozumieć się nie da. Między obowiązkową lżyką tranu pod koniec lat czterdziestych a wzniesieniem Centrum Zdrowia Dziecka zawarty jest gigantyczny wysiłek narodu i ludowego państwa.

Warto sobie równocześnie uzmysłowić, że zdrowie to coś więcej niż nieobecność choroby. Zdrowie to stan pełnej sprawności fizycznej i psychicznej. A skoro tak — przypomnieć wypada, że troska o nie jest sprawą nie tylko jednego resortu. Umasowienie sportu, urządzenia rekreacyjne, stworzenie milionom ludzi możliwości przeniesienia się do nowoczesnych mieszkań, cały system przepisów i działań zapewniających bezpieczeństwo i higienę pracy, ochrona środowiska naturalnego, wysiłki zmierzające do racjonalizowania odżywiania, niebawmy rozwój turystyki — to tylko niektóre obszary, na których rozgrywa się batalia o zdrowie narodu.

Sprawa jest więc ponadresortowa, głęboko osadzona w programie naszej Partii. Mówię o tym ze szczególnym przekonaniem, bo reprezentuję województwo nowosądeckie, które nazywa się, może z pewną przesadą, zagłębiem zdrowia.

Mamy u siebie czwartą część łóżek sanatoryjnych w Polsce. Nasze źródła wód mineralnych są bogate i dobrze służą regeneracji sił ludzi pracy. Służą również temu celowi nasz las, nasze powietrze, krajobraz i górskie rzeki. W granicach województwa znalazły się Krynica i Rabka, Szczawnica i Wysowa, Doliny Popradu i Dunajca, wspaniałe pasma Gorców, Pienin i Tatr — stało się więc jasne, że podstawową funkcją regionu uczynić musimy szeroko rozumianą służbę zdrowia, wypoczynku i rekreacji.

Skierowało to naszą uwagę w stronę rozwiązań, które pozwoliłyby na lepsze spożytkowanie naturalnych właściwości regionu. Dokonane analizy dały podstawę do wysunięcia wniosku, że braki w infrastrukturze, zaniedbanie wód i powietrza spowodowane brakiem oczyszczalni ścieków i przestarzałym systemem ogrzewania, w poważnym stopniu osłabiają właściwości lecznicze regionu.

Z prawdziwą satysfakcją i wdzięcznością pragnę stwierdzić, że nasz punkt widzenia na funkcje województwa i problemy, których własnymi siłami nie byliśmy w stanie rozwiązać, spotkał

się z uznaniem i poparciem Komitetu Centralnego, Rady Ministrów, Centralnej Rady Związków Zawodowych, Komisji Planowania, a w efekcie zaowocował dwiema uchwałami Rady Ministrów, które otwierają przed nami szansę rozwiązania wielu nabrzmiałych spraw. Szansę tę w pełni wykorzystamy.

Znajdujemy się w przededniu przyjęcia przez wojewódzką instancję partyj-

dotąd obciążenie placówek służby zdrowia w naszym województwie całorocznym, ożywionym ruchem wczasowym i turystycznym. W tej sytuacji Minister Zdrowia i Opieki Społecznej przysłał nam w sukurs podejmując decyzję o uznaniu województwa za deficytowe pod względem kadry lekarskiej. Na marginesie warto zauważyć, że wszelkie statystyki dotyczące regionów odwiedzanych przez miliony gości

wództwa. Każde posiada własną administrację i zaplecze gospodarcze. Natomiast — jak wynika z przeprowadzonej analizy — stopień wykorzystania miejsc leczniczych jest w nich znacznie niższy niż w sanatoriach państwowych. Równocześnie dysponują one na ogół wyższym standardem wyposażenia w sprzęt i aparaturę, a także wyższymi stawkami żywieniowymi. Czy jest uzasadnione utrzymywanie wymienionych dysproporcji?

Aby jasno wyłożyć nasze intencje pragnę powiedzieć, że idzie tu wyłącznie o lepsze wykorzystanie obiektów wzniesionych ze środków społecznych, o bliższą współpracę resortu zdrowia z różnymi partnerami branżowymi. Sądymy, że w społecznym interesie trzeba rezerwy uruchomić.

Konieczne jest również pełniejsze wykorzystanie kadr zatrudnionych w lecznictwie uzdrowiskowym. Fundamentem, na którym opiera się współczesny model socjalistycznej służby zdrowia, jest lecznictwo podstawowe. Ono też w decydującej mierze kształtuje opinię społeczną o funkcjonowaniu całej służby zdrowia. Potrzebne są więc takie rozwiązania organizacyjne, które pozwoliłyby lepiej wykorzystać kadrę zatrudnioną w sanatoriach dla poprawy efektywności działania lecznictwa podstawowego. Środowisko lekarskie sugeruje rozważenie możliwości włączenia także części lekarzy zatrudnionych w szpitalach, klinikach i instytutach naukowo-badawczych w działania lecznictwa podstawowego.

Dalszych rezerw dla umocnienia lecznictwa, szczególnie podstawowego, należy szukać z zintegrowaniem wszystkich sił służby zdrowia działających na danym terenie. Jak wiemy, w wielu miastach funkcjonują placówki służby zdrowia o podobnych zadaniach, ale podporządkowane różnym resortom. słusze byłoby zatem połączenie tych sił dla wspólnego dobra.

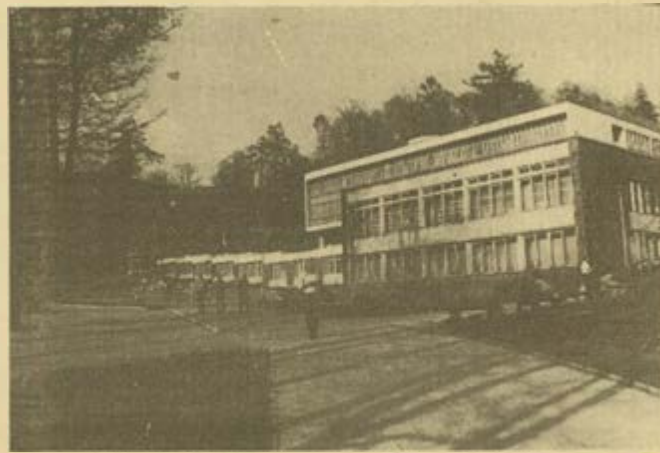
Ogrom osiągnięć ludowego państwa można zniweczyć, bądź obniżyć, jeśli poziom pracy naszych kadr będzie niezadowalający. Uwaga ta odnosi się zwłaszcza do lekarzy i pielęgniarek, bowiem kultura obsługi pacjentów, wrażliwość, pożądane postawy moralne — w tej najbardziej humanitarnej służbie człowiekowi mają rangę szczególną. Bardzo wiele zależy od ofensywności Partii w tym środowisku, od jej inicjatyw w sferze ideowo-wychowawczej. Pielęgniowanie wzorów ambitalnej i ofiarnej pracy, których tak wiele posiada służba zdrowia, także w naszym województwie, wychowywanie na dobrych przykładach, inspirowanie działalności organizacji zawodowych i związkowych winno stać się codziennym zadaniem wszystkich ogniw Partii w służbie zdrowia.

Musimy dołożyć wszelkich starań, by unikalne walory przyrodnicze, klimatyczne i fizjograficzne regionu oraz jego ponad stuletnie tradycje uzdrowiskowe i turystyczne pomnażać. Musimy ożywić szeroki ruch społeczny, by Nowosądeckie z honorem wypełniło swą służebną rolę wobec kraju, by jeszcze lepiej służyło ochronie zdrowia Polaków.

(Fragmenty wystąpienia I Sekretarza KW PZPR w Nowym Sączu na Plenum KC Partii w dniu 30 czerwca br.)

Henryk Kostecki

ZDROWIE NARODU



Szczawnica. Zakład Przyrodoleczniczy

na program, który określili konkretne zadania instancji i organizacji partyjnych w tworzeniu szerokiego ruchu społecznego wokół realizacji wspomnianych uchwał Rady Ministrów. Zamierzamy podjąć działania wywołujące nowe pokłady aktywności społecznej na rzecz pomnożenia tego, co otrzymaliśmy.

W tym pięcioleciu oddane zostały w województwie do użytku dwa nowoczesne szpitale oraz 25 ośrodków i przychodni wzniesionych przy znacznym udziale Narodowego Funduszu Zdrowia i czynów społecznych.

Sytuacja w zakresie bazy i kadry służby zdrowia, mimo uzyskanej poprawy, jest u nas jednak trudniejsza, niż wynikałoby to z prostej interpretacji danych statystycznych. O ile bowiem liczba zatrudnionych lekarzy na 10 tysięcy stałych mieszkańców jest niższa tylko o 1/5 od średniej dla kraju, to wskaźnik lekarzy faktycznie pracujących na rzecz powszechnej służby zdrowia jest niższy blisko o połowę. Podobnie przedstawia się zestawienie współczynników dotyczących bazy łóżkowej. A przecież w tych danych pomija się

okazują się zawodne, gdyż odnoszą się tylko do stałych mieszkańców.

W środowiskach, w których konsultowaliśmy materiały na dzisiejsze Plenum z satysfakcją przyjmowano fakt, że mimo złożonej sytuacji gospodarczej Komitet Centralny podejmuje temat zdrowia narodu. Jest to dowód konsekwencji Partii, która w centrum swej polityki umieściła sprawy człowieka i zdecydowanie kurs ten kontynuuje. Z uznaniem przyjęto u nas zarówno Wytyczne — trafnie formułujące kierunki dalszego doskonalenia ochrony zdrowia — jak i przedłożenie ich do społecznej konsultacji, co świadczy o utrwalaniu się tego stylu partyjnej działalności, który zakłada dialog we wszystkich żywotnych sprawach narodu. W trakcie konsultacji wskazano — między innymi — na pewne rezerwy tkwiące w organizacji służby zdrowia.

Oto kilka przykładów. Obok czterech Państwowych Przedsiębiorstw Uzdrowiskowych działają na naszym terenie liczne sanatoria branżowe i zakłady. Dysponują one blisko 80% całej bazy uzdrowiskowej woj-

Nagrody w konkursie „PAMIĘTAMY!”

Wspólnie z Zarządem Wojewódzkim ZSMP i Komendą Chorągwi ZHP ogłosiliśmy w kwietniu br. konkurs na wypowiedź publicystyczną, wspomnienie bądź opowiadanie o nowosądeckich miejscach pamięci narodowej. Większość nadesłanych prac spełniła oczekiwania organizatorów i będziemy je niebawem publikować.

Jury w składzie: Lechosław Mikształ, Roman Morańda, Adam Ogorzałek, Jan Pilarczyk, Wacław Raczkowski, Ewa Słazyk i Marian Wasilewski — postanowiło przyznać

— dwie równorzędne nagrody pierwsze, które otrzymują:

♦ **ZYGMUNT GOETEL** z Zakopanego za szkic historyczny „Popradzka brama”;

♦ **JÓZEF PARA-HEJKA** z Poronina za pamiętnik grabarza „Ciała zabite, ale duch żyje”;

— cztery równorzędne nagrody drugie:

♦ **MARIAN JANIGA** z Ropy za pracę pt. „Za tę cenę Polska żyje”;

♦ **MARIA KRÓL** ze Słupnic za „Historię Pomnika w Słupnicach Górnych”;

♦ **STANISŁAW OLEKSY** z Siolkowej za opis hitlerowskiej zbrodni w Białej Niżnej „Pamiętamy”;

♦ **KAZIMIERZ SZCZECINA** ze Słupnic za pracę pt. „Pomnik w Słupnicach Dolnych”;

— trzy wyróżnienia:

♦ **KAZIMIERZ BORZYM** z Nowego Sącza za „Kartkę z pamiętnika”;

♦ **MARIAN MATUSIAK** z Kościeliska za pracę bez tytułu.

♦ **MICHAŁ PODGÓRNY** z Nowego Sącza za pracę pt. „Pokoleniom ku pamięci”.

Nagrodę specjalną Zarządu Wojewódzkiego ZSMP otrzymał **JERZY WIDEL** z Nowego Sącza za reportaż „Gdyby te świerki przemówiły”.

Elżbieta Glinka

Z biegiem Dunajca (2)

NA SKRZYŻOWANIU SZLAKÓW

Witomy Was syćkich pięknie, rostomili, w mieście Nowym Torzku, cieszymy się, coście do nas przyjechali — takie słowa widnieją na pierwszej stronie informatora o stolicy Podhala i są miłym świadectwem tutejszej gościnności.

Gościnność to zresztą nie tylko postawa wobec przyjeżdżających do miasta i przejeżdżających przez nie rzesz turystów, kuracjuszy, wczasowiczów z całego niemal świata. To również warunek rozwoju miasta, położonego na skrzyżowaniu ważnych szlaków ku Tatrom, Pieninom, Gorcom, Beskidom i... chmurom.

Nowy Targ. Miasto w województwie nowosądeckim, położone w widłach Białego i Czarnego Dunajca, u podnóża Gorców, na wysokości 585—605 m n.p.m. Prawa miejskie od 1346 roku. Przemysł obuwniczy i ludowo-artystyczny. Muzeum. Zabytki. Ok. 26 tys. mieszkańców.

Dodajmy: dziś należy mówić już raczej o nowotarskiej aglomeracji, w której skład wchodzić okoliczne miejscowości — Waksmund, Ludźmierz, Zaskale, Niwa i (choć oficjalnie do Nowego Targu nie włączone) Szafłary, ze swą wytwórnią nart. O aglomeracji, która musi zaspokoić wszechstronne potrzeby nie tylko własnych, stałych mieszkańców, ale i gości o bardzo różnorodnych zainteresowaniach, wymaganiach, gustach.

Nowy Targ wyniósł ze swej przeszłości cenny kapitał: od dawien dawna jeździł tu z dalekich nawet stron gospodarze, gazdowie, kupcy na synące szeroko jarmarki, będące nie tylko forum handlowym, ale i — może nawet przede wszystkim — forum ożywionej wymiany myśli, poglądów, wieści; na wspólną zabawę. Do dziś cotygodniowe czwartkowe jarmarki nowotarskie ściągają ludzi ciekawych „kolorytu lokalnego”, a także mających na

dzieje na udane zakupy. W sezonie letnim czy zimowym na placu targowym słyszy się najróżniejsze języki świata, zaś wystawione towary noszą metki firm wszystkich kontynentów, a nie tylko stygmat podhalańskiego rzemiosła i rolnictwa. A już ten najsłynniejszy, wrześnieowy „Jarmark Podhalański”, związany nierozdzielnie z dorocznym festiwalem folkloru zwanym „Tatrzańską Jesienią”, jest prawdziwą feerią strojów, muzyki, języków i towarów. Piękne widowisko stanowi też rezyda na Jaworkach, do dziś pozostający pod patronatem Nowego Targu. Wspaniały podhalański folklor, w całym bogactwie jego form, urzeka turystów, a miasto na tysiąc sposobów stara się to urzeczzenie podtrzymać, bo ma z tego nie mieć profit. No, nie w takim stopniu, jak by chciał i mogło — ale gospodarze Nowego Targu wiedzą, że sporo jeszcze trzeba zainwestować w miasto, by w pełni sprostało potrzebom i zaczęło odgrywać rolę rzeczywiście na miarę swych walorów.

Jest w Nowym Targu parę zabytków z XIV—XVII wieku, a wśród nich legendarny modrzewiowy kościół św. Anny, zbudowany ponoć za zbrojeńskie łupy, najstarsza bodaj budowla

Podhala; jest kościół św. Katarzyny, jest rynek z ratuszem i karczmą pamiętająca wiek XVIII, a dziś szykująca się do odnowy. Są współczesne galerie — z tą w Ratuszu na czele — wystawy, jest Muzeum Regionalne i archiwum z bezcennymi świadectwami przeszłości. Szkoda tylko, że tak słabo są rozpropagowane. Niejednokrotnie przecież gość, marnotrawiący godziny na dworcu mógłby przeznaczyć ten czas na poznanie się z regionem. Aż się prosi, by wielką halę dworca PKS wykorzystać na gabloty, plansze, plakaty prezentujące skarby nowotarskiej ziemi. Dosłownie o kilkadziesiąt metrów od PKS jest Miejski Ośrodek Kultury, o charakterze regionalnym — czemu nie miałby przyciągać przejeżdżnych? Niestety, „kultura” nie ma zbyt dużo funduszy na propagandę... Informatory, foldery są dostępne, owszem, ale głównie w „Orbisie”. PTTK, WPGT — a tam dociera raczej turysta i tak już na ogół wiedzący, czego chce lub gość zasiedziały w mieście na dłużej.

Co ofiarowuje Nowy Targ gościom z dóbr — nazwijmy to — bardziej przyziemnych? Powiemy od razu — z pewnością zbyt mało jak na potrzeby, ale z roku na rok więcej, bo miasto rozbudowuje się i w tej rozbudowie kładzie mocny nacisk na zaspokojenie potrzeb przyjeżdżnych.

Unowocześnia się więc układy komunikacyjne, a wszyscy zmotoryzowani umiają docenić każdy wiadukt i bezkolizyjny rozjazd. Jest duży, przestronny dworzec PKS, chociaż warto by pomyśleć o jakimś osłonięciu wiat przed hulającymi tu zawsze wiatrami. Uporządkowano peron stacji kolejowej i wybudowano schody nad torami, choć podróźni obciążeni dziećmi, walizkami, zmęczeni wielogodzinną jazdą nie patrzą zbyt optymistycznie na konieczność wspinania się kilka piętér w górę.

„Dworzec” PKP stanowi dziś jeszcze wrzód na ciele miasta — małeńki, obskurny, nie stwarza warunków odczucia po drodze, a większość klientów kolei stąd udawać się będzie jeszcze dalej i marzy o chwili relaksu.

Rozwija się baza noclegowa. Dziś Nowy Targ dysponuje hotelem „Janosik”, OST „Stadion Letni” i kwatarami prywatnymi. Już jednak wyrasta nowy hotel „Skalny”, a w planach (niestety, jeszcze dość odległych) jest budowa campingu o międzynarodowym standardzie, usytuowanego pięknie u zbiegu Czarnego i Białego Dunajca. Gwoli ścisłości dodajmy, że nowotarska hala sportowa ma własne zaplecze hotelowe, że Aeroklub Tatrzański, o przeszło półwiekowej tradycji, też ma gdzie pomieścić szymbowników, którzy zjeżdżają tu nawet z zagranicy na słynną tatrzańską „fale”.

Miłośnikom innych sportów ofiarowuje Nowy Targ stadion zimowy — chlubę miasta, rozpoczęto też budowę parku kultury, rekreacji i wypoczynku nad Białym Dunajcem. Parku, który — jak mówią nowotarzanie — będzie autentycznie pełnił wszystkie zawarte w nazwie funkcje. Wyrasta już z ziemi zespół obiektów sportowych na Kowańcu, skąd — w przyszłości — system wyciągów wynosić będzie narciarzy aż na szczyt Turbacz.

I — co ogromnie ważne! — wszystkie te obiekty mają być ogólnie dostępne.

A jak z zaopatrzeniem? Gdzie robić zakupy? Cóż, nielato to zadanie: zaspokoić potrzeby tysięcy gości bez uszczerbku dla własnych mieszkańców. Nowy Targ kładzie nacisk na rozbudowę sieci handlowej, zwłaszcza wokół dworców. W przyszłym roku staną na wielki supersam spożywczy, już dziś są nowe sklepy kilkadziesiąt zaledwie metrów od PKS. Z myślą o gościach powstał opodal Rynku dom towarowy, w którym nie tylko można zrobić zakupy, ale i odpocząć przy kawie i (zawsze świeżym!) ciastku. Należy też podkreślić z uznaniem, że w czwartki — dni nowotarskich jarmarków — wszystkie sklepy otwierane są o ósmej rano.

Ale przecież Nowy Targ to nie tylko wielkie „turyistyczne biuro usługowe”. To zwyczajne miasto ze stałymi mieszkańcami, z problemami, jakimi żyje każde inne miasto kraju. Na przykład — z problemem mieszkaniowym. Nowotarska Spółdzielnia Mieszkaniowa należy do najbiedszych w Polsce, a w budynkach jej podległych mieszka niemal połowa obywateli Nowego Targu. Nie tylko mieszka — również zaopatruje się w sklepach, o których w osiedlach nie zapomniano, bawi się w ośrodkach kultury, korzysta z usług. Ci, którzy wciąż jeszcze czekają w kolejce po własną M-ileś, z nadzieją patrzą ku nowej dzielnicy „Równia-3”. Dodajmy, że Nowy Targ ma

Piękny to on nie jest. Raczej ponurawy, choć nie pozbawiony własnego wyrazu. Toteż dziennikarze wpadają tu służbowo, a nie z sentymentu. Wpadają, dotykają zaledwie problemów, wypunktują jakiś skandal, chlusną kubel wody na kuśnierza, nie odróżniając autentycznych rzemieślników od pokątnych wyrobników, skrzywią się na tutejsze poczynania kulturalne, skrytykują buty z kombinatu, komunikację albo czwartkowe jarmarki. Z drobiazgu zrobią sprawę, przykleją etykiety. Ot, choćby: miasto przy przystanku.

Więc jaki jest ten Nowy Targ? Prowincjonalny, zasługujący na szyderstwo? To zależy od punktu widzenia.

Zimą i latem są tu diabelne skoki temperatury. Nocą w styczniu —25 stopni Celsjusza, a w dzień +15. Najzimniejsze okół Suwałk miejsce w kraju. Wieje halny i wtedy z ludźmi dzieją się rzeczy osobliwe. Przyjeżdżają krewni z Ameryki i też dzieją się rzeczy dziwne: przeliczenia, porównania...

Zacznijmy jednak od początku — nie żeby lekceważyć te osobliwości klimatyczno-obyczajowe — lecz po to, aby parę spraw wyjaśnić.

Kazimierzowi Wielkiemu, który miasto lokował w 1346 i w dokumencie lokacyjnym nadał korzystne przywileje, chodziło o rzecz z gruntu mądrą. Chciał, żeby miasto znajdujące się niedaleko obrzeży państwa, było silne na wypadek potyczek czy wojen; przede wszystkim szło o utworzenie ośrodka gospodarczego na podgórskiej ziemi. Kolejni królowie też tak myśleli, a Nowy Targ mimo to pozostawał mały i drewniany. Zamków tu nie budowano i szczytne myśli nie przybrały kształtu organizmu miejskiego o dużej sile oddziaływania. Brakło dróg, którymi by dowieziono nowinki techniczne. Mierny rozwój miasta szedł też w parze z niechęcią do Tatr, które do końca XVIII wieku były w literaturze zimne i pełne strachów, w dodatku górali autentycznie się bano. Popatrzmy jak w innej atmosferze, już dla gór sympatycznej, wieś

Zakopane w niecałe pół wieku przemienia się w miasto. To, że Nowy Targ przez wieki był drewniany miało swoje skutki. Palili się razy kilka.

W czasach zaborów coź dla Nowego Targu uczyniono? Chwalony cesarz austriacki ustalił dla miasta herb, którym nikt się nie chce chwalić, skoro piękniejszy jest na dokumencie polskiego króla. Za cesarza zbudowano ratusz, trochę murowanych budynków, które z dużym zastanowieniem traktuje się dziś jako zabytki. W XIX wieku Wiedeń Podhalem i jego stolicą nie przejmował się. Lud niszczyli epidemie i gorączka w karczmach. Można mówić o udręce bytowania. Świadcza o tym dokumenty i twórczość Władysława Orkana. Urabiano owszem mit górala, ale jak się dało to go niemczone i mądziaryzowano. Przekorni górale, co „wiatr ich wykołysał”, wiedzieli, że drogi

Piotr Nowak

NOWOTARSKIE

z Podhala pójda do Krakowa i Warszawy, a nie do Wiednia. I poszły. Trzeba tu dokładnie przypomnieć odruch miasta w początku XX wieku. Nowy Targ wyznaczył sobie rolę ośrodka społecznego i politycznego, który miał promieniować na całe Podhale. Wychodziła gazeta. Znakomita. Ludzie czytali książki. Za ideologią szły fakty. Wybudowano szpital, gimnazjum, internat, budynek „Sokola”. Gimnazjum przygotowywało do nauk w Uniwersytecie Jagiellońskim, do zawodu nauczycielskiego, ale uczniowie i profesorowie zajmowali się jak nigdy polityką i wojskiem. To dzisiejsze wojsko w paradnych kapeluszach i pelerynach wywodzi się z tamtych czasów. Do nowotarskiego gimnazjum przybywali uczniowie aż z Rzeszowskiego. Korzystali tutaj z azylu.

Patriotyczne poruszenie Podhalańców owocowało później, nawet w czasach pogardy, kiedy okupant tępił próby organizowania oświaty i gospodarki. Nikt, kto rozsądny, nie siedział w ślady Wacława Krzeptowskiego, a wyjątkowo zjadliwie traktowano Niemca z wąsikami.

Wokupację Nowy Targ stracił, co wytworzył w dwudziestolecu niepodległej Polski. Pozostało 8 tysięcy mieszkańców. Walki partobójcze nadały niewycyły rozwój i stabilizację. Łęgi były nieporozumienia i konflikty. Trudno miastem było kierować — przedstawiciele władzy nie zawsze w porę rozumieli górali i borykali się z podejrzliwością.

wkrótce stać się (jak to brzydko brzmi!) zaplecem mieszkaniowym Zakopanego.

Gdzie pracują nowotarżanie, z czego żyją? Oczywiście z handlu, obsługi gości, placówek kulturalnych, komunikacji. Oczywiście — zatrudnieni są w Nowotarskich Zakładach Przemysłu Skórzanego „Podhale”, w spółdzielczości odzieżowej, futrzarskiej, w usługach, w Cepeli. Czerpią też mieszkańcy nowotarskiej aglomeracji dochody z wynajmu kwater, no i trochę z uprawy ziemi. Coraz mniej patrzą ku „Hameryce”, skąd bogaty wujek ma przysłać „zielenie”, coraz częściej sami mogą temu wujkowi zaimponować gospodarnością i dostatkiem. Gorzka, sławetna podhalańska nędza pokutuje jedynie odległym echem w postaci owych wujków, którzy dziś nie mogą poznać ojcowizny.

Jest jednak pewien istotny problem, z którym Nowy Targ musi się uporać jak najszybciej dla pożytku własnego, gości i — całej Polski: problem ochrony wód. Miasto, położone w widłach potoków Czarny i Biały Dunajec, miasto, gdzie rodzi się rzeka Dunajec — musi strzec tego skarbu. A z tym jest różnie. Prawda — wody dunajcowe przypływają tu już mocno zanieczyszczone, czasem wręcz zatrute, nie może to jednak rozgrzeszać miasta z jego własnej niedbałości. A nie będzie miało czystego sumienia dopóty, dopóki nie załatwi trzech ważnych spraw.

Pierwsza z nich — to jak najszybsze uruchomienie nowego wysypiska śmieci. Przed wieloma laty zlokalizowano je w pobliżu wsi Nowa Biała, potem — wskutek zagorzałej walki mieszkańców wsi z tą decyzją — lokalizację nieco zmieniono, rozpoczęto budowę i... wlecie się ona w iście złotym tempie, za co odpowiedzialne są NZPS „Podhale” — wykonawca i przyszły — wraz z miastem — współużytkownik wysypiska. Do dziś śmieci z miasta i zakładów składowane są na terenach zalewowych na lewym brzegu Białego Dunajca, skąd nieczystości bez wielkich przeszkód dostają się wraz z wodami podziemnymi do rzeki.

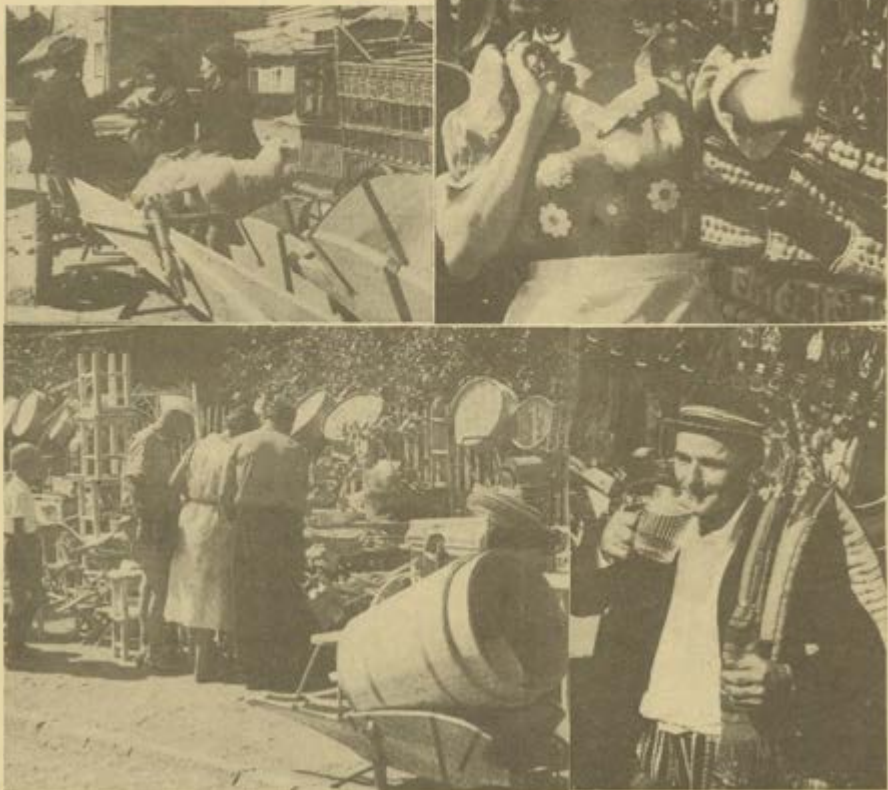
Sprawa druga — to budowa laktozowni dla nowotarskiej mleczarni, „etadowego zatruwacza” dunajcowych wód. Wprawdzie ostatnio alarmów nie było, ale póki laktozownia nie stanie — mleczarnia stanowić będzie stałe zagrożenie dla rzeki.

No i sprawa trzecia — beżmyślności? wygodnictwa? — tutejszych prywatnych kożuszników, którzy pod osłoną nocy ciskają do rzeki papierowe worki ze ścinkami skór. Szukają potem wiatru w polu, choć wędkarze stale alarmują, że znów woda zanieczyszczona.

Dunajec jest tak piękny. Tak dobrze się na jego brzegu, słuchać opowieści rzecznej fali, a wokół widzieć góry, lasy, czyste niebo. Strzeżmy tego piękna!

Władysław Werner

JARMARK



REFLEKSJE

Ruszyła już budowa nowego szpitala, natomiast organizacja handlu w Nowym Targu wystarczą ledwie dla potrzeb lokalnych, a tysiące ludzi z regionu i kraju wchodzi do sklepów, gniezdzących się w starych budynkach, remontowanych w każdą wiosnę. Kiedyś prezesi WSS i PZGS jeździli załatwiać inwestycje, mieli szanse, lecz jakże mało zdołali pobudować. Następcy odrabiają niedbalstwo, klną po cichu, bo głośno nie wypada.

Zupełnie inaczej było z dworcem PKS. Nowotarżanie znaleźli serce i materiały. Teraz na tym dworcu w dni czwartkowe wystaje piąta część Podhala i gdera na niesprawność komunikacji, ale już pod dachem. Swoją energię pokazał nowotarżanie (górale i cepry) przy budowie szkół, przedszkoli, domu towarowego, ośrodka zdrowia, sali gimnastycznej liceum, domu kultury, budynku KS „Podhale”, drogę w mieście i na Podhalu. Wszystko to funkcjonuje, bo robiono, nie czekano.

Kiedy przyjechałem do Nowego Targu dwa-nastę lat temu, miasto trzymało się tradycyjnego bytowania, wstawała weń wyraźnie wieś. Waskie uliczki, drewniane chałupy z małymi ogródkami. Pieski, koty, świnki, króliki i kury. Rynek z kocich łbów, targowica zmienne pełna błota lub kurzu. Widok gnębiący, tylko ludzie inni — ruchliwi i figlarni, kłótlivi i życzliwi. W Nowym Targu ludzi na targu w czwartek jest bez miary. Nie sami górale, po prostu ludzie rozmaitych zawodów i profesji z aktorami, pisarzami

i dyplomatami włącznie. I to normalne, jak normalne są nasze sentymenty do jarmarków.

Ten obraz miasta sprzed dwunastu lat mało się różni od opisów wędrowców, którzy w drugiej połowie XIX wieku zaczęli pielgrzymować w Tatrę. Oznaka nowego były dwie tysiąclatki, osiedla mieszkaniowe Świerczewskiego i Zawadzkiego, przedzielone nareszcie szeroką aleją Tysiąclecia. Kowanie, dziś najładniejsza dzielnica, był wiejskim przedmieściem odciętym od miasta rzeką, która w tym punkcie bierze nazwę Dunajec. Tą dzielnicą wprost straszono, szczególnie „małpim gajem”, restauracją na wolnym powietrzu. Całkiem na uboczu były też Nowotarskie Zakłady Przemysłu Skórzanego „Podhale”. Jeszcze wtedy w miasto nie wrosły. Podhalański rolnik, który w zakładach pracował, nie chciał stanąć na trwałe w mieście. Przyjeżdżał do fabryki na osiem godzin i wracał autobusem do wsi, też do roboty, tylko na roli. Wtedy o mieszkaniu w Nowym Targu było łatwo, teraz czeka się lat dwanaście.

Słowo o nowotarskich ruderach. Upodobniały miasto do ciemnego mrowiska. Co wiosnę robiono koło nich porządk, w ogródekach sadzono kwiatki, krzewy. Drzewo w tych rudach nagrzewało się niemal do samozapłonu. Palilo się jak benzyna. Groza brała, kiedy w okolicy ul. Waksmundzkiej pojawił się pożar. Kilka zabudowań palilo się 18 minut. Miasto miało wtedy szczęście. Ciągnął wiatr w pola, nie do centrum.

Z ruderami stało się tak, jak z pierwszą miłością. Znikali i na ich miejscu pojawiali się robotnicy, zakrzętań koło fundamentów. Budowali i rzadko się bili, bo sobie pomagali. Uciechli przewziska. Imiona zdrobniano. Byli więc Franusie, Jaski, Wojtusie. Było „grzenie”, cały Nowy Targ przeżywał swoją gospodarczą przemianę. Prywatne budowy znalazły konkurenta, Nowotarska Spółdzielnia Mieszkaniowa, która stawiała bloki, żeby kwatrować tysiące „dziadów” — górali i ceprow.

Przebudowało się miasto całkiem i już dwukrotnie najmniej rozbudowało. Domy mają znakomitą architekturę, ale są i chałupiska, i jednostajne bloki. Tak wtedy projektowano. Kto chce mieć całkowite pojęcie o nowotarskiej przemianie, musi przepatrzyć stare fotografie, poczytać księgi miejskie i pochodzić z pół dnia ulicami.

Coś też drgnęło w głowach nowotarżan. Dwanaście lat temu kioskarki wtykały mi gazety. Teraz już przed godziną osmą się przeprasza i radzi, żebym gazety przeglądał w swojej bibliotece. Odchodzić dość często bez dzienników. Kupuję jeszcze dostępne tygodniki i miesięczniki. W domach telewizory, radia, magnetofony, moda na książki jak wszędzie w kraju. W placówkach bibliotecznych co roku rejestruje się 6 tys. czytelników, którzy pożyczają do domów ponad 100 tys. tomów. To nie jest tak mało. Natomiast w pięknym kinie i na imprezach w domu kultury pustawo: chyba że przyjechała estrada z pikantną rozrywką. Osobna historia z hokejem, ten jest znany od Karpat po Bałtyk.

Nowy Targ wyszedł na dobre ze swoich opłotków. Na gwałt potrzebna jest komunikacja miejska, która zbliży okoliczne miejscowości jeszcze bardziej. 28 tys. stałych mieszkańców i drugie tyle gości musi korzystać z komunikacji.

Jeszcze marginalna uwaga Jadąc z Nowego Targu w kierunku Tatr mamy po drodze wsie murowane — Szafary, Białe Dunajec, Poronin i miasto Zakopane. Niewielkie odległości dzielą te miejscowości. Wiele jakas aglomeracja miejska? Dziś jeszcze nie. Ale jutro — na pewno. Będą nowe problemy, nad którymi trzeba się zastanawiać.

Sam Nowy Targ przestaje być miastem przelotowym, miastem przy przystanku. Ale przesadny optymizm na miejsce dawnego czarnowidziwa byłby jednak rzeczą podejrzana.

STAROSĄDECKI FESTIWAL MUZYKI DAWNEJ



Fot. JERZY ZAK

Nie bójcie się Kasperka!

Jak co roku, w okresie letniej kanikuly przez województwo nasze przewijają się tłumy wczasowiczów, turystów i innych wagabundów, rozkoszujących się urokami lata na przepięknej ziemi sądeckiej. Rajno i gwarowo jest również w sławnym ongiś grodzie, Starym Sączu. Sławnym między innymi i postać Kasperka.

Tych, którzy przypadkiem nie wiedzą jeszcze, kto zaczął ów Kasperek, informuję, że był to jeden z nielicznych mieszczan tego, przesławnego grodu, którzy źle skończyli; zgubili go chęć i krzywo przysięstwo.

Było to tak:

Pewnego razu Kasperek zakupił na Węgrzech większą ilość wybornej wina. Kupiec węgierski wśród beczek z winem wydał mu przez pomyłkę również i beczkę pełną pieniędzy. Gdy zorientował się w fatalnej omyłce, zażądał zwrotu owej jakże cennej beczki, lecz ogarnięty chęcią Kasperek zakłamał się, że takowej nie było. Na potwierdzenie prawdziwości słów zaklął się:

— Jeżeli zamiast beczki wina wziął beczkę pieniędzy, niech mnie ani ogień, ani woda, ani ziemia, ani niebo, ani piekło po śmierci nie przyjmą!

Nieszczęsny! Nie zstanowił się nad skutkami swego krzywo-

przysięstwa, a okazały się one straszne: kiedy wkrótce Kasperek zmarł, w żaden sposób nie można było nieboraka pochować. Zakopano go w ziemię — już nazajutrz znajdowano leżące na wierzchu, wrzucono do wody — wyrzuciła go na brzeg, zaś w ogniu jego zwłoki nie chciały w ogóle gorzeć.

Wieczorem jeździł więc pokutujący Kasperek na białym koniu po rozległym starosądeckim rynku i straszył spóźnionych, Bogu ducha winnych, przechodniów. Wiecznie milczący i posępnie usłużny, podjeżdżał, gdy go zawołano, nikomu jednak krzywdy nie czynił.

Działo się tak, dopóki jedna prze-myślna, czarownica starosądecka (oj, były takie w Starym Sączu, były! Czy są i teraz — nie wiem) nie pojmowała Kasperka i nie sprawiła mu wreszcie niecodziennego „pogrzebu”: powiesiła go na włosku, na którym biedak usechł i rozsypany się w proch.

Odwiedzający Stary Sącz nie powinni jednak łamać sobie głów nad tym, co by zrobili z tak przypadkowo uzyskanymi pieniędzmi. Wino można bowiem w „Staropolskiej” dostać, ale na beczkę z pieniędzmi nie ma co liczyć...

ZYGMUNT BŁASZAK
Nowy Sącz

MOJE PODHAŁE



Fot. WŁADYSŁAW WERNER

Swoje więzi z Podhalem datuję od stu lat, kiedy to moja Matka była jedną z pierwszych turystek tatrzańskich. To ona przekazała mi miłość do Tat, Podhala i do Zakopanego.

Rosłam w domu, gdzie było pełno pamiątek regionalnych i gdzie zawsze rozbrzmiewały nutki góralskie. Matka często je śpiewała. Nic dziwnego, że marzyłam o górach i dążyłam do poznania tego zaczerpniętego zątką Ojczyzny. Jednak minęło wiele lat, zanim mogłam zrealizować moje marzenia.

Osiadłam na stałe w Rabce. W ślicznym uzdrowisku, do którego przyjeżdżają dzieci z całej Polski. I moje własne dzieci leczyły się tutaj. Ziemia rabczańska i ziemia gorczańska stały się świadkami mojego życia, doli i niedoli.

Kochałam przyrodę, domek mój stojący pod lasem i często, po całodziennych pracach, wychodziłam na spacer, by powitać zbliżającą się, cichą noc. Stapując się z czernią, która pochłaniała otaczający mnie krajobraz, mogłam w wyobraźni przenosić się na chwilę w daleki świat. W młodości wiele podróży zwołałam. Widziałam przepiękne widoki Szwajcarii, Włoch i Francji, a przecież tam najmocniej tęskniłam do Podhala.

Tutaj nigdy nie tęsknię. Moje Podhale — to nie tylko skrawek polskiej ziemi, ale i część historii narodu. Ta ludzka, ludzie, którzy swoją twórczością wtopili się w tutejszy krajobraz, w legendę i wiecznie żywą kulturę Podhala. Kocham to wszystko, co oni wyrazili słowem, muzyką, barwą i kształtem.

Wędrując po szlakach tatrzańskich i po Zakopanem dostrzegamy wyobraźnię sylwetki Kazimierza Przerwy — Tetmajera, Władysława Orkana, Mieczysława Karłowicza, Ignacego Paderewskiego, Karola Szymanowskiego...

Rabka też już ma własne legendy, rodzą się nowe. Kiedyś będą mówili: tutaj żyła i tworzyła Antonina Zachara-Wnękowa, poetka kwiatów i olch nadrabczańskich.

Obchodząc swe gody z Rabką, Górami i Podhalem dorzucam do ich historii i swój, choć tylko znikomy wkład. (Wiem, że najbardziej cieszyłabym się, malując dla nich zabawki, dzbanuski i filiżaneczki). Ale najistotniejsze jest to, by pozostał ślad mego serca dla Podhala i dla tych, których kochałam.

JANINA ZABOROWSKA

Rabka

Najlepsi drwale

W dniach 19—20 czerwca w Krościenku odbywał się „Okregowy konkurs drwali motorniczych — Krościenko 80”. Brali w nim udział drwale z okregu Polski południowej. Najlepszymi okazali się: Józef Jamruz z nadleśnictwa Myślenice, Józef Kwak z nadleśnictwa Nowy Targ, Czesław Klimczak z nadleśnictwa Dąbrowa Tarnowska i Zygmunt Barnowski z nadleśnictwa Krościenko.

PAWEŁ GRAWICZ
Szczańnica



Chwila zadumy

Przed niespełna stu laty Krynica była biedną, zakopaną wśród gór wsią, trudno więc mówić tutaj o zabytkach. Współcześnie jednak Krynica powinna z większym pietyzmem zadbać o zachowanie śladów przeszłości. Najstarsze drożowe budynki wymagają szczególnej ochrony. Największe skupisko drewnianych budynków uzdrowskiego znajduje się przy bulwarach Dietla. Malownicze wille, pełne koronkowych ozdób i charakterystycznej ciosówki, bliższe są sercu turysty czy kuracjusza niż betonowe bryły nowoczesnych domów wczasowych, choćby na-

wet nienajgorzej wkomponowanych w krajobraz.

Drewniane budynki noszą dźwięczne nazwy: „Witoldówka”, „Szczerbiec”, „Tatrzańska”, „Małopolska”, „Orzeł Biały”, „Węgierska Korona”. Reprezentują osobliwy styl architektoniczny, powstały z przemieszania stylu miejscowego z modą panującą w XIX-wiecznych zdrojach europejskich. Stare obiekty nadal decydują o atmosferze uzdrowskiego centrum, są częścią jego historii. Mieszkali w nich Adam Asnyk, Józef Ignacy Kraszewski, Artur Grottger

Krynicki festiwal

Festiwal Arii i Pieśni im. Jana Kiepury należy do głównych wydarzeń kulturalnych w Krynicy, która jest organizatorem tej imprezy wokalo-instrumentalnej, nawiązującej do tradycji wielkich krynickich koncertów, gdzie usłyszeć można było takie sławy jak Adę Sari, Adama Didura i Jana Kiepurę — śpiewaka światowej sławy związanego z Krynica w szczególny sposób, któremu Krynica oraz wybitni artyści operowych scen polskich składają od lat hołd muzyką i pieśnią z kantylenowo potraktowanym głosem solowym.

Począwszy od pierwszego festiwalu w r. 1976 organizatorzy czynią starania, by kuracjuszom, wczasowiczom i mieszkańcom miasta przybliżyć wspaniałe dzieła kompozytorów polskich i zagranicznych oraz dać możliwość poznania najlepszych wykonawców.

Tegoroczny, czternasty już festiwal odbył się w dniach od 15 do 22 czerwca. Zainaugurował go koncert laureatów Ogólnopolskiego Konkursu Wokalnego — Dyplomatów i Absolwentów Akademii Muzycznych oraz Państwowych Wyższych Szkół Muzycznych, zorganizowanego przez Akademię Muzyczną w Krakowie pod przewodnictwem głównego jurora konkursu, Krzysztofa Missony.

Imprezą o dużych walorach wychowawczych dla młodzieży szkół średnich w Krynicy był koncert Towarzystwa Muzycznego w Krakowie pod nazwą „Jan Kiepura — król tenorów — w nagraniach i wspomnieniach”.

W dniu 20 i 22 czerwca w Pijalni Głównej, gdzie wybudowano specjalnie na okres festiwalu dużą estradę, odbyły się główne koncerty: arii i pieśni oraz koncert muzyki popularnej i rozrywkowej.

Zalować należy, iż miłośnicy muzyki nie mogli obejrzeć przewidzianej w programie opery „Zamek na Czorsztynie” skomponowanej przez Karola Kurpińskiego — przedstawienie to zostało odwołane w ostatniej chwili przez krakowski Teatr Muzyczny ze względu na chorobę aktorów. Mimo tej straty krynickie święto muzyczne zapewniło gościom i mieszkańcom Krynicy wspaniałą rozrywkę, niezapomniane przeżycia i przyczyniło się do upowszechnienia pięknej pieśni i muzyki.

JERZY ŻAK
Krynica



XIV Festiwal Arii i Pieśni im. Jana Kiepury w Krynicy. Śpiewa solista Opery Świątecznej w Bytomiu, Eugeniusz Kluszyk — bas



Śpiewa Maria Łukasik — sopran, solistka Opery Wrocławskiej

Zdjęcia JERZY ŻAK

Nowotarska „Cepelia”

Podhalańska Spółdzielnia Rękodzieła Ludowego i Artystycznego „Cepelia” w Nowym Targu powstała w drugiej połowie maja 1945 roku z dobrych chęci i pracy 20 osób. Warsztaty trzymały wtedy w prywatnych domach i wyrabiano samodzielnie płaszczyki. Dostosowywano się do aktualnych potrzeb rynku. Roczna wartość produkcji nie przekraczała 100 tys. zł. Spółdzielnia nazywała się wówczas „tkacko-trykotarska”. W latach 1949—1950 została podporządkowana — jako jedna z pierwszych — „Cepeli”, powstałej w Warszawie.

Tradycje kultury regionalnej oraz utalentowani ludzie Podhala, Orawy i Spisza — oto czynniki, które wyznaczyły program działalności spółdzielni i zapewniły jej byt. Z Nowego Targu rozkoczowała się do Jurgowa, Jabłonki i Czorsztyna, gdy ten ostatni ośrodek znikł, w jego miejsce zrodził się nowy — w Maniowie.

W 1969 spółdzielnia przeniosła się do nowoczesnego zakładu, w którym urządzono przedział, farbarnię, zakład zwarty tkactwa ręcznego i mechanicznego. Dziś zakład ten jest ośrodkiem centralnym dla całej wytwórczości Podhala.

W nowotarskiej „Cepeli” znaleźli miejsce artyści ludowi i profesjonaliści, przeważnie wyrośli na Podhalu, którzy — choć wykształceni — mają oczy otwarte na dorobek pokoleń. Ich twórczość fascynuje odbiorców z kraju i zagranicy 40 proc. produkcji wysyła się na eksport. Jest to najlepszy „znak jakości”, chociaż i takich spółdzielni nie brak.

Te fakty przypominamy z okazji 35-lecia Podhalańskiej Spółdzielni Rękodzieła Ludowego i Artystycznego. Na jubileusz? Nie, bowiem takiego spółdzielni nie organizowała. W dzień założenia odbyło przewidziane statutowo, walne zgromadzenie. My chcieliśmy tylko podkreślić, że spółdzielnia potrafiła się znaleźć godnie na Podhalu, dostrzec jego interesy i pracować dobrze.

PIOTR NOWAK

Nowy Targ

Z biegiem Dunajca

Dziękuję pani Elżbiecie Glince za mądre zdanie w artykule „Zródła”, które wzruszyło mnie swoją trafnością: „miarą postępu, miarą nowoczesności, miarą dojrzałości społeczeństwa jest to, na ile potrafimy współżyć z własnym środowiskiem przyrodniczym. To jest właśnie moja dewiza przewodnia: żyć w zgodzie z przyrodą. Rzecz o Dunajcu przeczytałem z przyjemnością, ale i ze smutkiem, który pragnę utopić w dunajcowym wspomnieniu.

Dunajec to jak hymn zbójnik wśród rzek polskich; czy jego złoćność zdoła naprawdę ujarzmić tamę w Czorsztynie? Czy to będzie ta sama, piękna, wijąca się w podpiemśnik krajobrazie woda? Czy to będzie ów Dunajec, który

przymiła się zamkowi na wysokiej górze w Niedzicy, aby pomknąć dalej i nieskrępowanie pod Trzy Korony, wdrzeć się w skały wyrzynając jak cud korytem i zadziwić człowieka dziesięciokrotnym przełamaniem się, między szczytami Pienin?

Pojechałem kiedyś do Opatowca (Kielecczyzna), gdzie Dunajec topi się w wiślanej toni. Mieszkam pod Tatrami, gdzie dunajcowa woda bierze swój początek, ciekawiło mnie też, gdzie się kończy. Przewoźnik zabrał mnie łodzią na drugi brzeg Wisły Staniem zadziwiony Istnie tu widokowo, Dunajec, pełen górskiego temperamentu, bruci się do statka, nie daje się pochłoniąć Wiśle, płynie jeszcze długo zieloną wodą tuż obok czarnej, załamowanej wody wiślanej. Wygląda to tak, jakby dwie rzeki płynęły jednym korytem. Dopiero gdzieś dalej rezygnuje, traci swój hyr, poddaje się i topi, zwyciężony i pochłonięty już całkiem przez matkę — Wiśłę.

ALEKSANDER ZACZYŃSKI
Zakopane

Na pomoc rzekom

Krakowski rzeźbiarz Andrzej Chodorowski, przyjechał do Nowego Sącza, żeby uzyskać zgodę wojewody na wybudowanie sobie pracowni nad Dunajcem. Pomyślnie załatwiwszy tę sprawę, odwiedził naszą redakcję i zgłosił pomysł wart realizacji. Chodorowski proponuje, byśmy stali się odpowiedzialnymi corocznej, stałej akcji oczyszczania brzegów rzek i potoków. Wyobraża ją sobie nieco inaczej, niż analogiczne sprzątanie gór, zainicjowane przez „Przekrój”. Idzie mu nie o jednorazowe skrzyknięcie miłośników przyrody, lecz o przedsięwzięcie systematycznie ponawiane, wiążące z każdym kilometrem brzegu konkretny zespół ludzi, który podejmuje się gospodarzem rzeki na swoim odcinku.

Zwracamy się przeto do naczelników miast i gmin, by zechcieli przemysleć sposób rozdzielania zadań na swoim terenie działania. Komu można przypisać opiekę nad poszczególnymi odcinkami — straszliwie dziś zaniedbanych — strumieni i rzek? Po pierwsze — wielu ludzi dzierżawi tereny zielone, położone właśnie nad naszymi rzekami. Warto by nawet zwolnić ich od opłat w zamian za sprzątanie. Po drugie — są wędkarze, członkowie organizacji społecznych, młodzież. Po trzecie — zakłady pracy, które nie mają czystego sumienia w sprawie ochrony środowiska naturalnego.

Chodorowski nie bardzo wierzy w upórnię się z zaniedbaniami wyłącznie siłami społecznymi i sugeruje, by administracja terenowa zobowiązała określonych adresatów stosownymi zarządzeniami.

Wydaje się, że gospodarze poszczególnych miejscowości powinni wybrać wariant najskuteczniejszy według własnego rozeznania. Czekamy na dobre wiadomości w tej kwestii. Szczęśliwie również, że celowe będzie powołanie społecznych kontrolerów, którzy na rowerach — na przykład — pojawiają się będą tam, gdzie występują szczególnie jaskrawe przypadki zaśmiecania. Bez mandatów pewnie się nie obejdzij! A równolegle — energiczniej niż dotąd — organizować trzeba małe wysypiska śmieci, bo gdzieś ta rosnąca kupa odpadów musi być przecież magazynowana.

Spacer brzegiem Dunajca, Popradu, Kamienicy czy Lubinki budzi refleksję, że rzeki te nie mają gospodarza. Liczymy na doradztwo dyr. Franciszka Weydlicha z Urzędu Wojewódzkiego oraz na inicjatywy wszystkich naczelników.

Spśród znanych nam inicjatyw społecznych najbardziej konkretnie wydają się działania młodzieży zrzeszonej w ZSMP, która wiosną każdego roku oczyszcza kilka czy kilkanaście kilometrów potoków i rzek. Jest to wszakże zaledwie fragment roboty, jaką trzeba wykonać, by choć w części zahamować proces degradacji naszych strumieni i rzek. Samo odwoływanie się do świadomości obywatelskiej nie wystarczy. Dlatego popieramy pomysł „przypisania” konkretnych ludzi i zespołów do chronienia poszczególnych odcinków rzek.

(a)

nad starą Krynica

i Leon Wyczółkowski. Po koniecznych obecnie konserwacjach będzie się można z powodzeniem użytkować przez długie dziesięciolecia. Tymczasem stare budynki przedstawiają opłakany stan i są bardzo uciążliwe w eksploatacji. Program renowacji starej Krynicy trzeba ograniczyć i zrealizować jak najprędzej, bo może być za późno. Przy okazji przywrócenia Krynicy jej dawnego wyglądu warto byłoby jeden z budynków przeznaczyć na tak duży oczekiwane muzeum uzdrowiska. Znalazłby tam miejsce obrazki Nikifora, jak też wiele innych pamiątek, starych szty-

chów, zdjęć, relacji związanych z przeszłością słynnego źródła, a także z jego gośćmi. Kilkadzieści lat temu występowała tutaj Helena Modrzejewska, Ada Sari i Ludwik Solski, odczyty publiczne wygłaszał Henryk Sienkiewicz, pierwszych turystów rysował Wojciech Gerson.

Czas drewnianą Krynica mocno nadweryzł. Pora więc pomyśleć o jej odnowie i konserwacji.

JERZY LEŚNIAK
Kraków



Fot. JERZY ŻAK

Antonina Zachara-Wnękowa

* *
*

Kto nie rozmawiał z gromem,
Komu jest obcy mrówek ślad...
Kto czapki nie zdjął przed pustym, smutnym domem,
nie słuchał nigdy, jak szumi w lesie wiatr...
Kto się we falach żyta nie zanurzył
i dojrzałego kłosu nie rozkruszył,
mieszając słońce z ziarnem na swej dłoni...
Kto się wyrwanym brzegom nie przysłużył,
Kto się rozkwitłym lipom nie pokłonił,
Kto się z czułością nie uśmiechnął,
słyszcząc prześliczne polne echo..
Kto przy jesiennej siwej wiatrce
na odlot ptaków z żalością się nie patrzył,
Kto na matczynym sercu ziemi
nie zakwitł jak mak bujnym czynem...
Czyj wzrok z puchami wierzb nie latał,
Kto nie drżał widząc dal Wszechświata,
Kogo sąsiada trud nie wzruszył –
ten skreślił szczęście ze swej duszy.



Fot. PAWEŁ GRAWICZ

Andrzej Warzecha

Baszta Kowalska

Przewodniczący polecił jej
uśmiechać się do turystów
i żegnać ostatnie
wiosenne kry na Dunajcu

Więc
stoi na wzgórzu
i uśmiecha się nieszczerze
przyzwyczajona
do ciężkiej zbroi
i walki wręcz



Fot. JERZY ŻAK

Wiesław Kolarz

Prorok z Łabowej

Spotkałem go gdy dźwigał
na kabląku pleców
połatany worek
nieba
z czoła splywały mu
wąskie strugi żywicy
ślepa twarz
wyorana w drzewie
w skupieniu nasłuchiwała
kukania przestrzeni
ukrytej za zaspą górą
on który przeczuł
niejedną tragedię
mimo iż
nie wyściubił nosa
poza zagajnik
wiedział dobrze
co znaczą
głosy ziemi
marszczył więc korę
i kreślił niepokoje
znaki
które wiatr
sypał ludziom
w niewidzące oczy

Jerzy Masior

Nowy Sącz

Wież wiekiuste czuwanie,
czasu przemijanie
Dunajca przepływanie
i trwanie, trwanie...

Najlepiej jest tu wieczorem,
najciszej we mgle od lasu.
Wstrzymać tę chwilę ulotną –
wstrzymać szaleńczy rytm czasu.

Zatrzymać zegara dzwonicie
i sieni starej cienie,
zmierchu błękitnienie,
tamto wspomnienie...

Wieża jak gniazda – różańce okien,
dachy rdzawe, czerwone – zielone –
rzeka z rzeką spleta kokardę
i płyną tak dalej splecione.

Horyzont górami zamknięty,
błękit nad miastem rozpięty,
Dunajca wikliny i mięty,
czas we mgle poczęty...

Lat szkolnych, lat młodzieńczych –
ulice lat niezapomnianych.
Plenty, kasztany, akacje,
zapach fiołków zrywanych –

gdzieś we mgle jeszcze zostały
czy chciały, czy nie chciały –
i jeszcze jestem tu cały
taki zielony, mały...



Fot. JERZY ŻAK



Fot. MIECZYSLAW STASZEWSKI

Bogusława Agata Konstanty

W moim miasteczku

W moim miasteczku na chmielowe tyczki
 zacne matrony wieszają kantyczki.
 W moim miasteczku brzemienne dziewczyny
 w welonach niosą do ołtarza winy.
 W moim miasteczku o szarej godzinie
 jad plotek warzą miejscowe Erynie.
 W moim miasteczku grzeszna Magdalena
 wie, jak wysoka jest występku cena.
 W moim miasteczku w knajpie tuż nad fosą
 goście majcher na talerzu niosą.
 W moim miasteczku noc brzydotę kryje,
 a anioł z diabłem smętnie piwo pije.

Franciszek Brataniec

Przesłanie

W noce tak długie, jak jesienna słońca,
 pisujesz listy do Anioła Stróża
 o zdrowie dla mnie i dla moich dzieci,
 a potem przedzą myśli cerujesz gorliwie
 odległe wspomnienia, jak podarte skarpetki,
 i tak się cała pochylasz w niepokój,
 jak niegdyś nad moim dziecięcym łóżeczkiem.

Raz jeszcze — nim się otworzy biała rana świtu —
 opowiedz mi bajkę o kraju szczęśliwym,
 o ludziach tak dobrych, jak na przednówku
 podpłomyk,

i o miłości silniejszej niż śmierć.
 Wróć mi ten płomyk, co niegdyś buszował
 w kominie,
 i zwierząt — druhów naszych wiernych — łagodne
 spojrzenia.

... a mnie nie żałuj i ręk nie załamuj,
 gdy mnie przyniosą na tarczy ...

Adam Ziemianin

Dunajec

nieuczony synu gór
 nieuczzone ryby
 masz w swym wnętrzu
 nieuczony góral
 z tobą się dogadał
 od czorsztyna
 aż gdzieś po króścienko

lecz spętali cię nagle
 niczym siwka
 w rożnowskiej stajni
 i skrzesałeś im
 złotych iskier
 które biją się
 pod kopytami

ujarzmiony jeszcze
 buntury czynisz
 siwa grzywa
 pod domy podchodzisz
 więc nie puszczaj cię
 swobodnym
 dziki synu gór moich



Fot. ANTONI KROH

Andrzej Krzysztof Torbus

Tylicz

tu się zaczyna lata dojrzewanie
 i srogość zimy swój napina więcierz
 tu konie ciągną ciężkie wozy z sianem
 i mętny Poprad moje pisze wiersze

tu się wiosenne przewalają burze
 i wrony lecą w jedną tylko stronę
 na mokrym niebie chmury jak kałuże
 zielony z lasu wyrzesują promień

tu zboża w jasyr wzięte przez wichurę
 w pokłon się cichy pochylają górcom
 i o jałowce woły czyszczą skórę
 a po trzech królach pyskiem kłapie turoń

tu się mieszają wszystkie roku pory
 i wilki nocą gęsi z kojca kradną
 tu w jesień wielką rośnie we mnie gorycz
 choć złoty owoc rodzi w sadzie jabłoń

Stefania Łaskowska

Sądecki wiatr

zeskoczył z góry
 w sądecką niwę
 uczynił liście
 szczęśliwe
 truchtem pobiegał
 przez szlaki barwne
 gwizdnął w kominy
 zabawnie
 za serca chwycił
 wykrcił stawy
 czapki potoczył
 i spojrzał w oczy
 pod połę sięgnął
 zamroczył
 trzy dni harcował
 dachy pozywał
 — niewinny
 w góry się schował

Antoni Kiemystowicz

Matce

twoje włosy pachną żytem
 twarde ręce pachną znajom
 twoje serce ogniem płonie
 do ziemi
 do chaty
 do mnie

ręce twoje spracowane
 grube żyły wiązą nogi
 późną nocą
 wczesnym ranem
 wydeptujesz wciąż te same
 proste wiejskie chłopskie progi:

plyniesz w zbożu w słońca żarze
 pochylona na zagonie
 toniesz w kwiatkach moich marzeń —

idziesz matko z sercem
 z sierpem
 chlebem pachniesz
 tak najpiękniej
 tak najprościej
 tak najwonniej

To nie byle jaka wieś: kulturalna, światła. Niedgdy należała do Wacława Potockiego, który urodził się w pobliskiej Woli Łużańskiej, a w Łużnej przebywał często i tam właśnie — podobno — napisał „Wojnę chocimską”.

„Dzisiejsza Łużna godnie podtrzymuje swe piękne tradycje. Jeszcze przed pierwszą wojną światową powstała tam spółdzielca, bardzo nowoczesna jak na owe czasy mleczarnia, a niemal równocześnie utworzono we wsi koło Towarzystwa Teatrów i Chórów Włościańskich. (Związek ten, jeżeli nie liczyć przerw przez dwie wojny, istnieje do dziś, przystosowując swą działalność do zmieniających się warunków cywilizacyjnych, społecznych i politycznych. Obecnie nosi nazwę „Towarzystwo Kultury Teatralnej” i wydaje własny organ prasowy „Scena”). Miarą zasług artystów i działaczy łużańskich jest powołanie do życia oddziału gminnego Towarzystwa, tworzącego eksperymentalnego, ale już z osobowością prawną, kontem bankowym — na razie pustym, pieczęcią i trzema kołami działającymi na terenie innych wsi gminy. I — co jest bodaj najważniejsze — z człowiekiem, który trudom eksperymentu poddał. Jest nim Wiesław Worytko.

W 1963 r. miesięcznik „Teatr Ludowy” poświęcił większość podwójnego numeru jubileuszowi 50-lecia łużańskich zespołów artystycznych. Okazja ku temu była znakomita. Właśnie kończono budowę wspaniałego domu kultury, wzniesionego wysiłkiem społecznym całej wsi. Wielu założycieli artystycznego zespołu w Łużnej weszło w skład komitetu organizacyjnego i czynnie uczestniczyło w budowie. We wspomnianym numerze „Teatru Ludowego” roi się od nazwisk i historycznych zdjęć, na których oni sami, ich dzieci i wnuki rozpoznają się bezbłędnie. Zdjęcia pochodzą z archiwum, przechowywanego skrupulatnie w bibliotece gminnej i w gabinecie dyrektora Gminnego Ośrodka Kultury, Eugeniusza Hudzika. Na półkach stoją tam liczne puchary i nagrody z całej Polski.

— Tu pan może przeczytać — pokazuje mi dyrektor jedną z publikacji — że nasz dom kultury zastąpił dawne cztery karczmy we wsi. W czworoboku budynków, stanowiących centrum Łużnej mieści się idealnie, zajmując miejsce najbardziej eksponowane. Jest też niezwykle funkcjonalny i obszerny. Znajduje się tu biblioteka gminna, klub Rolnika, jest miejsce dla organizacji politycznych, dwa pomieszczenia wypożycza Urząd Gminy i jest przede wszystkim wspaniała sala teatralna na 250 miejsc.

— To, co się tu dzieje, to nie cała gminna kultura — zaznacza dyrektor. — W samej Łużnej działają teatr, zespół pieśni i tańca, zespół wokalo-instrumentalny i orkiestra dęta. Ale w Szalowej też istnieje taka orkiestra oraz działa ruchliwy zespół wokalo-instrumentalny; podobnie jest w Woli Łużańskiej. W Mszance natomiast prowadzi teatr lalkowy.

— Ile wynosi roczny budżet GOK?

— Trzysta tysięcy, w tym się mieszczą nasze pensje i dwa skromne ryczałty instruktorskie. Na działalność merytoryczną zostaje niewiele. Zużywają się przeciw instrumenty, stroje, dużo kosztują wyjazdy. Część kosztów działalności pokrywamy z występów.

Do Łużnej trafiłem akurat w jeden z dwóch dni tygodnia, kiedy zespół regionalny odbywa próby. Młodzi zbierają się najpierw grupkami na skwerze przed budynkiem, potem zachodzą do klubu. W pokoju dyrektora, który jest jednocześnie kierownikiem zespołu, toczy się tymczasem rozmowa o przeszłości, teraźniejszości i perspektywach zespołu. Przyszło trzech tancerzy i solistów średniego pokolenia: Eugeniusz Bobola — mistrz murarski, członek Cechu w Gorlicach, Stanisław Rząca — dyżurny ruchu ze stacji Wola Łużańska, obecnie pracujący w Stróżach; i Kazimierz Tomasiak — pracownik BKK w Gorlicach, wszyscy prosto z pracy. Potem dochodzi Ryszard Rząca — członek orkiestry dętej, pracownik „Glinika”, na próbie przegrywający do tańca na akordeonie. Podkreślają z dumą, że w repertuarze

mają wprowadzić różne tańce i przyspiewki, ale na występach prezentują zawsze autentyczny, nie stylizowany folklor łużański. Toteż brali nagrody na przeglądach ogólnopolskich, występowali w warszawskim Teatrze Dramatycznym, w telewizji.

Z młodzieżą nie mają kłopotów. Owszem, chodzą młodzi na dyskoteki, ale poczucie przynależności do łużańskiej wspólnoty kulturalnej jest tak silne, że żadnych przedziałów pokoleniowych się tu nie odczuwa i zespół odmładza się systematycznie.

ronkę na czepek, nawet cekinów. Kłopoty są również z autobusem na wyjazdy.

Gdy odjeżdżam z Łużnej o godz. 22, na scenie dudnią jeszcze deski w takt obchodnego, polki i hecioka. Rano członkowie zespołu pójść lub pojadą do pracy na godzinę 6, 7, uczniowie na 8.

Rzeń nieprzerwanej, zorganizowanej pracy artystycznej przez blisko 70 lat stanowi w Łużnej teatr. Założyła go wspólnie ze swoim przyszłym mężem, prawnikiem i działaczem spółdzielczym — Anna Leśkiewicz, podówczas

Dzisiaj pani Anna, po ciężkiej pracy nauczycielskiej i artystycznej, z życiorysem wypełnionym licznymi rodzinnymi kłopotami, otoczona powszechnym szacunkiem wsi, w której wszyscy mieszkańcy zbliżający się do trzydziestki byli jej uczniami, służy jeszcze czasem radą tym, którzy kontynuują jej artystyczne dzieło. Do tej pory zespół regionalny prezentuje jej „Zrękowiny”, „Prządki” czy „Wesele łużańskie”, nadal czekające na druk, na który zasługują ze względu na swój autentyzm i walory artystyczne.

A w sąsiednim domu mieszka Wiesław Worytko. Z zawodu jest wprowadzić ekonomistą i pracuje w „Gliniku”, ale duszę zaprzedał Mel-pomenie od najmłodszych lat. Posiada w tej chwili najwyższe instruktorskie uprawnienia reżyserskie, zdobyte na kursach, odbywanych za własne pieniądze podczas urlopów i potwierdzone sukcesami jego teatru. Mimo niespełna 42 lat jest człowiekiem znanym w „branży”, zapraszany z zespołem na wszelkie przeglądy, zasiadającym w komisjach oceniających i uczestniczącym w ogólnopolskich sympozjach Towarzystwa Kultury Teatralnej.

Pan Wiesław, wbrew etykietom przyklejanym zwykłe ludziom teatru, jest człowiekiem niezwykle skromnym, pozbawionym minodierii. O sukcesach swojego zespołu mówi niechętnie, ale w dłuższych rozmowach można z niego to i owo wyciągnąć.

— To nieprawda — twierdzi — że największy teatr świata, teatr telewizji, „położył” teatr amatorski. Przy odpowiednim doborze repertuaru widownia zawsze się znajdzie i znajdują się wykonawcy. My w Łużnej kłopotów z tym nie mamy. Z premierą wychodzimy średnio raz w roku; dwa razy sztuki wystawiamy u siebie, resztę przedstawień dajemy na wyjazdach po okolicy, gdzie nas dobrze znają. Z repertuaru pisanego dla scen amatorskich ostatnio zrezygnowaliśmy. Wystawiamy klasyków, oczywiście odpowiednio przystosowanych do inscenizacji raczej estradowych. Schodzimy więc ze sceny na widowie, scenografii nie robimy, rekwizyty ograniczamy do minimum. Nie tylko dlatego, że taka jest moda. Zmuszają nas do tego warunki, w jakich występujemy. Do przyjęcia takiego kursu ośmieliły nas sukcesy „Grzegorza Wyndaly” Moliera i „Radców pana radcy” Bałuckiego. Ostatnio zrobiliśmy „Gwaltu, co się dzieje” Fredry.

Przysiadłem się do zespołu jadącego ciężarówką „roburem” na występ do Technikum Hodowlanego w Hańczowej. Składany parawan płócienny zamiast kulis, magnetofon, dziesięciu aktorów już prawie ubranych w kostiumy. Trochę się spóźniliśmy, bo aktorów, wszystkich przecież gdzieś pracujących lub uczęszczających do szkół, trzeba było zbierać po drodze. Ale kilkunastuosobowa grupa młodzieży internackiej czekała cierpliwie. Nie zawiodła się. Młodzież bezbłędnie wyłapywała pointy i spontanicznie reagowała salwami śmiechu i oklasków na zabawną farsę Fredry. Wielką satysfakcję sprawiała obserwacja obopólnej zabawy. Wróciliśmy z Hańczowej o godz. 23 we wspaniałym nastroju. Nikt się nie martwił, że jutro trzeba się stawić do pracy nawet na godzinę szóstą.

Przez drogę nasłuchałem się o koligacjach rodzinnych całych pokoleń łużańskich artystów, reprezentowanych we wszystkich zespołach. Nie podejmuję się tego relacjonować, żeby czegoś nie pomylić. Wiem tylko, że jedną z głównych ról: burmistrza Tobiasza — grał wspaniale Józef Rafa, najstarszy członek trupy teatralnej, syn najstarszej żyjącej aktorki zespołu regionalnego — Apolonii. Poza tym wszyscy wypadli świetnie, prezentując duże obycie sceniczne i swobodę ruchu, którą zdobyli mimo młodego wieku.

Lucjan Tumidajewicz

ŁUŻNA - WIEŚ WYJĄTKOWA



Zespół założycielski Towarzystwa Teatrów i Chórów Włościańskich z 1912 roku

Archiwum

— Trzeba zapisać — mówią zgodnie — że pierwszą parę taneczną w Łużnej tworzyli Jan Waląg i Apolonia Rafa. Obydwójce sięgają już osiemdziesiątki, ale jeszcze się nami interesują. Od nich nauczyliśmy się najwięcej.

— Kłopoty? Największe ze strojami. — mówi dyrektor. — W tej chwili możemy ubrać przywoźcie tylko dziesięć par, a ubranie kapeli sprawia już poważne trudności. Dawniej stroje szyły w domu, teraz tego się już nikt nie podejmie. Nie ma płótna lnianego, aksamitu na gorsety, ko-

przed I wojną światową, startująca do życia nauczycielskiego. Zaczęto od wystawienia „Ojcowizny”. Po 50 latach tak m. in. opowiadała dziennikarzowi:

— Na pierwsze przedstawienia w wynajętej sali podworskiego domu najliczniej przychodzili młodzi. Starsi nie dowierzali, a matki, ciotki i babki przestępowały: — Któż to widział jakiejś tancerki wyprawiać. Zgorszenie z tego będzie i obraza bosko. Ale wkrótce przekonali się wszyscy, że sala, gdzieśmy się zbierali, jest jednak lepsza niż karczma.

Jerzy Leśniak

PREZYDENT RZECZYPOSPOLITEJ ZAKOPIAŃSKIEJ



Archiwum

O tym, że Stefan Żeromski często był w Tatrach, że w Zakopanem powstały obszerne fragmenty jego utworów, że kontakt z górą inspirował pisarza — wiedzą na ogół wszyscy. Znaną są też społecznikowskie pasje i poglądy polityczne autora „Popiołów”, „Ludzi bezdomnych”, „Przedwiośnia”.

Niewiele natomiast osób wie, że mocno angażował się Żeromski w życie „stolicy Tatr” oraz że nawet — przez pewien czas — piastował tam najwyższy urząd: prezydenta.

W 1909 roku powstał w Zakopanem Komitet Dla Uczczenia Setnej Roczniccy Urodzin Juliusza Słowackiego. Ponieważ kardynał Puzyra odmawiał zgody na sprowadzenie zwłok autora „Balladyny” do kraju i pochowanie ich w podziemiach Katedry Wawelskiej, Żeromski, wspólnie m. in. z Henrykiem Sienkiewiczem, wystosował pamienny memoriał. W tymże samym roku utworzone zostało w uzdrowisku Towarzystwo Pisarzy Polskich, którego prezesem został Jan Kasprzowicz, a Żeromski — niestrudzony społecznik i organizator — jego zastępcą.

Wraz z Dionizym Bekiem i Benedyktem Woyczyńskim zorganizował pisarz bibliotekę, która powstała w miejsce istniejącej czytelni w willi „Polanka” przy ul. Zamkowej. Od 1912 roku przylączył się do pracy zakopiańskiego koła Towarzystwa Szkół Ludowych. Popłynął na książkę w języku polskim był niematy. Górale docenili trud Żeromskiego, który na potrzeby biblioteki przeznaczył kilka skrzyń własnych książek. Myślał także o zorganizowaniu ośrodka oświatowego dla młodzieży, ale przeszkodził temu wyjazd do Warszawy jesienią 1918 roku.

Żeromskiego łączyły więzi z ruchem socjalistycznym. Nie należał wprawdzie formalnie do PPS, ale brał udział w zebraniach jej sekcji zakopiańskiej, a w sierpniu 1905 r. został zaproszony na konferencję zakopiańską tej

partii. Nie zgodził się jednak na przyjęcie stanowiska superarbitra w sądzie obywatelskim, który miał rozważyć sprawę Leona Kulczyckiego, oskarżonego o działalność destrukcyjną w łonie PPS. Dał się natomiast namówić do udziału w akcji zmierzającej do stworzenia komitetu, złożonego z ludzi znanych w kraju, który by wezwał społeczeństwo do składek pieniężnych na rzecz utworzenia siły zbrojnej dla wywalczenia niepodległości kraju.

W lipcu 1914 r., w czasie swego kolejnego pobytu w Zakopanem, Stefan Żeromski spotkał się z przyszłym wodzem Rewolucji Październikowej, Włodzimierzem Leninem. Gdy zaś Lenin został w nowotarskim więzieniu, interweniował Żeromski wraz z Władysławem Orkanem i Janem Kasprzowiczem w jego sprawie, a nawet zredagował petycję do władz austriackich, zawierającą protest przeciwko uwięzieniu Lenina. Starania te odniosły skutek i 19 sierpnia 1914 r. W. Lenin został zwolniony.

Ale represje nie ominęły i Żeromskiego. Po wybuchu I wojny światowej starosta nowotarski, Zukotyński, rozkazał wszystkim obywatelom z Kongresówki, bez względu na stan zdrowia i położenie materialne, w ciągu trzech dni wyjechać z Zakopanego do wskazanego miejsca w Tyrolu. Wówczas Żeromski wstąpił do Naczelnego

Komitetu Zakopiańskiego — filii NKN, dzięki czemu mógł pozostać pod Tatrami.

Wspólnie z Janem Kasprzowiczem utworzyli w 1914 r. tajną organizację niepodległościową. Istniała ona do początku 1916 r. i skupiała ludzi z najważniejszych obozów i stronnictw. Na tajnych naszych schadzkach — wspominał Żeromski kilka lat później — zasiadał esdek obok zakonika dominikanina, pepesowiec i szermierz idei legionowej obok najzłotliwszych endecków, konserwatywny hrabia i radykalny student. Wreszcie na trop tej na polu masonskiej organizacji wpadł komisarz policji, Mikołaj Kwasniewski, i została ona unicestwiona.

Ukoronowaniem działalności niepodległościowej Żeromskiego był jego wybór na prezydenta Rzeczypospolitej Zakopiańskiej w 1918 roku.

17 października na wielkim zebraniu obywatelskim w Zakopanem powołano do życia organizację narodową, której przewodniczącym został Stefan Żeromski. Jego zastępcami byli mjr Mariusz Zaruski — późniejszy generał, Franciszek Pawlica — prezes Związku Górali, piastowiec, oraz Wincenty Szymborski reprezentujący Stronnictwo Narodowe. W dwa tygodnie później do willi „Władysławówka” — gdzie przebywał pisarz — zgłosili się dwaj oficerowie z miejscowego garnizonu, kpt. dr Nowotny, późniejszy dyrektor szpitala zakopiańskiego, i por. Bolesławowicz. Oznajmili Żeromskiemu, że „zlikwidowali już Austrię na swoim terenie” tj. przejęli władzę nad sanatorium Czerwonego Krzyża, gdzie znajdował się mały garnizon wojskowy oraz kilkuset oficerów i żołnierzy na kuracji, a następnie oświadczyli, że chcą się oddać pod rozkazy polskiej władzy cywilnej i poprosili o rozkazy. Żeromski — wspomina świadek rozmowy M. Kozłowski — bardzo wzruszony odpowiadał krótko, w kilku słowach. Cała dusza jego, cała uwielbiała miłość do Polski skupiała się w jego oczach. Powiedział, że zaraz zwoła posiedzenie zarządu organizacji narodowej, której wyda odpowiednie dyspozycje...

Tymczasem przed początkiem na Karpówkach gromadziła się ludność cywilna, a żołnierze poszukiwali orzełków do czapek. Nazajutrz, w dzień Wszystkich Świętych, powołano Radę Narodową, na której czele stanął Stefan Żeromski. W skład Rady weszli przedstawiciele zarówno organizacji narodowej, jak i frakcji rewolucyjnej PPS. Rada Narodowa uznała zarząd organizacji narodowej za tymczasową władzę wykonawczą. Wybrany przez Polską Komisję Likwidacyjną starosta nowotarski, Bednarski, zatwierdził władzę zakopiańską. Tego samego dnia, 1 listopada, Żeromski odebrał przysięgę od najstarszego rangą oficera. Publiczne zaprzysiężenie wojska odbyło się w dzień później. Następnie Żeromskiemu jako najwyższemu zwierzchnikowi władzy zakopiańskiej złożyli przysięgę burmistrz, komisarz klimatyczny, dyrektorzy szkół, naczelnicy poczty i kolei, komendant żandarmerii. Pisarz, zabierając głos na zakończenie uroczystości, nawiązywał do „Księgi narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego” Adama Mickiewicza i mówił o nadaniu chłopom ziemi.

Stanowisko prezydenta Rzeczypospolitej Zakopiańskiej absorbowало Żeromskiego od rana do późnych godzin nocnych. Nie szczędził sił, zapалу i czasu dla spraw publicznych. Uczestniczył we wszystkich zebraniach, na których doradzał, informował, poddawał pod dyskusję projekty i wnioski.

Rzeczpospolita Zakopiańska miała i swoje „sprawy zagraniczne”. Kompania wysokogórska, dowodzona przez kapitana Władysława Zielińskiego, przylączyła do Rzeczypospolitej Zakopiańskiej okoliczne miejscowości.

Państwo Zakopiańskie przestało istnieć pod koniec listopada 1918 r. na mocy dekretu rządu warszawskiego.

Stefan Żeromski nieraz ze wzruszeniem wspominał o swoich rządach na Podhalu:

„Sprawowałem ten niezapomniany, śmieszny i wzniósłszy urząd (...) — pisał na dwa miesiące przed śmiercią — gdy się mama Austria waliła w gruz. Zaprzysięgałem uroczystości wojsko, policję, szpiclów, gminę, pocztę i telegraf na wierność nowemu Państwu. (...) Mnie wspominać te moje przewagi wojenne i dyktatorskie, gdyż zawierają morze uesela...”



„Pasia jak płomień”

Osobiście bardzo mnie ucieszył artykuł Krzysztofa Dóbosza „Pasia jak płomień”, poświęcony Ignacemu Łukasiewiczowi. O tej postaci trzeba pisać, popularyzować odkrycie rewolucjonizujące rozwój naszej cywilizacji.

Podkreślając wagę popularyzowania tej postaci, szczególnie wśród społeczeństwa naszego województwa, na którego terenach działał przecież Ignacy Łukasiewicz (Gorlice, Kłęczany) sprostować chcę jednak pewne nieścisłości w wymienionym artykule.

Autor pisze, jakoby Łukasiewicz interesował się destylacją ropy naftowej jeszcze przed stuleciem farmaceutycznymi, tzn. w latach 1848—1850, gdy po wyjściu z więzienia pracował we Lwowie w aptece Mikolascha. Nie jest to zgodne z prawdą. Dokładną analizę źródeł i krytykę takiego poglądu przeprowadził W. Roeske w swojej naukowej, jedynej wreszt w naszej literaturze, choć skromnej objętościowej biografii Łukasiewicza (W. Roeske, „Ignacy Łukasiewicz 1822. 1882”. Warszawa 1962, str. 30—32). Udowodnił, że ropy Łukasiewicz zainteresował się dopiero po studiach, czyli w roku 1852. Nie widzę powodów, by odrzucać jego ustalenia.

Łukasiewiczowska lampka nie była jego oryginalną konstrukcją. Była to przystosowana do nafty najpierw lampka olejowa, potem prawdopodobnie lampy innych typów. Łukasiewicz zajmował się lampą tylko o tyle, by stwierdzić przydatność swego destylatu do celów oświetleniowych. I oczywiście nie mógł odstąpić prawa jej produkcji, jak pisze autor artykułu, fabryce Rudolfa Dittmara po prostu dlatego, że sam go nie posiadał. Opatentował jedynie — wspólnie z Janem Zehalem — 2 grudnia 1853 roku produkcję nafty.

Dwa zdania o nazwiskach. Wiedeński producent lamp naftowych nazywał się Dittmar — tak pisane jest jego nazwisko na lampach wyprodukowanych przez tę firmę. Profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego Zeisner był — mimo obcego pochodzenia — Polakiem, co starannie podkreślał, i w tej spolszczonej formie przyjęto pisać jego nazwisko (czasem także Zejszner).

I na koniec, w formie ciekawostki, cytuję: „Pierwszą kopalnię założono z inicjatywą Łukasiewicza w gromadzie Sekowa, w tzw. Pustym Lesie (pod Gorlicami). Drugą była Bóhrka pod Krosnem w 1854 r. (Historia kultury materialnej Polski w zarysie, t. V, Wrocław—Warszawa—Kraków—Gdańsk 1978, str. 51). Przeczo to zdanie... samego Łukasiewicza, jakoby to on w Bóbrce zbudował pierwszą na świecie kopalnię „oleju skalnego” i co uwiecznił na stosownym obelisku tamże. Fakt ten jest chyba prawie nieznaną poza wąskimi gronem specjalistów, a wydaje mi się godny rozpowszechnienia z punktu widzenia lokalnego patriotyzmu gorlickiego.

JANUSZ TOMAŃSKI

Gorlice



Józef Bieniek

Sprawa Karskiego

Latem 1944 r. ukazała się w USA książka Jana Karskiego, nosząca tytuł „Story of a Secret State”. Książka ta, mówiąca o straszliwej tragedii Żydów polskich w latach wojny, stała się olbrzymią sensacją i figurowała przez dłuższy czas na czele światowych bestsellerów.

Ale choć autor usiłował „wstrząsnąć sumieniem wolnego świata” — konkretne efekty jego zabiegów w odniesieniu do zadowolonych przez Hitlera krajów były żadne: nie uratowały ani jednego życia.

Nie o to wszakże w tym wypadku chodzi. Dla nas ważne są związki Autora z ziemią sądecką i fatalne związki tych konsekwencji.

Pierwsze bowiem karty książki poświęcił autor swoim perypetiom na terenie Sądeczyny. Zdając sobie sprawę, że książka może dostać się w ręce wroga — dokonał jednak całkowitego kamuflażu, zatajając wszelkie nazwy i nazwiska. Ba, zmienił nawet detale topograficzne terenu, aby nie dać gestapo najmniejszego nawet śladu i nie stworzyć zagrożenia dla osób, z których pomocy korzystał.

Niestety, na nic się to nie zdało. Wróg znalazł trop i zemścił się z całym swoim okrucieństwem.

Wczesną wiosną 1940 r. przybył do kraju z Paryża, via Nowy Sącz, kurier rządu emigracyjnego, Jan Koziński (konspiracyjne nazwiska Pia-

secki i Karski). Młody pracownik ambasady polskiej w Paryżu z lat międzywojennych, wybitnie zdolny dyplomata, znający kilka języków, a przy tym obdarzony fenomenalną wręcz pamięcią — nie przywiózł ze sobą ani jednego papierka. Wszystko, co miał do zakomunikowania władzom krajowego podziemia, nawet szyfry i hasła, wykuł na pamięć i odtwarzał jak z taśmy magnetofonowej.

Po kilkutygodniowym pobycie w kraju, załatwivszy zlecone zadania, wybrał się w drogę powrotną. I znów wszystkiego, co miał zabrać ze sobą jako plon swej misji, wyuczył się na pamięć. Aby na wypadek aresztowania nie mieć przy sobie jakichkolwiek kompromitujących papierów.

Ktoregoś dnia, w pierwszej dekadzie czerwca, przybył więc Koziński do Nowego Sącza i zatrzymał się na punkcie kontaktowym u Rysiów, przy ul. Matejki 2. Przedstawił się jako „Piasecki” i poprosił o kontakt z władzami sądeckiego podziemia, celem uzyskania pomocy przy przejściu granicy.

Przerzutem zajęła się Komórka Przerzutów i Łączności przy Inspektoracie ZWZ w Nowym Sączu, na czele której stał wówczas Stefan Ryś „Waga”, pełniący swoją funkcję przy pomocy łączniczki: Janiny i Józefy Stefaniszyn.

11 czerwca wieczorem „Piasecki” wyruszył w drogę. Prowadził jeden z najlepszych kurierów — przewodników zespołu sądeckiego: Franciszek Musiał „Myszka”. Ubezpieczał Władysław Gardoń. Obydwaj z Piwnicznej.

Granicę przekroczyli bez przeszkód. Od Starej Lubowni pod węgierską granicę mieli jechać samochodem. Tu nastąpiła komplikacja — obsługujący linię „Myski” taksówkarz słowacki Jan Sikora został w międzyczasie aresztowany. Trójka

wędrowców musiała udać się w dalszą drogę pieszo.

13 czerwca wieczorem przybyli na nocleg do wsi Demjata, tuż pod węgierską granicę, gdzie „Myszka” miał swój punkt etapowy u Słowaka Muszyńskiego. „Myszka” nie wiedział jednak, że Muszyński został już zwerbowany do słowackiej ochrony pogranicza. Słowak zameldował władzom o śpiących u niego Polakach. O godzinie 3 nad ranem grupa żandarmów otoczyła dom i wpadła do izby z krzykiem: *Ruky hore!!!*

Zbudzony z twardego snu Koziński, nim go dopadły żandarmskie łapy, zdolał jeszcze zniszczyć jedyną rzecz, jaką zabrał z kraju — błonę filmową ze zdjęciami egzekucji dokonywanych przez gestapo na Polakach.

Aresztowanych przewieziono na posterunek żandarmerii w Kapuśanach i po wstępnym przesłuchaniu zamknięto w celi. Następnego dnia mieli być przekazani placówce gestapo w Muszynie. Ale „Piasecki”, gdy tylko zamknęli się drzwi aresztu, wyciągnął ukrytą w bucie żyłkę i wierny danemu słowu, że nie odda się żywy w ręce gestapo — przeciął sobie żyły obydwu rąk.

Na krzyk współwięźniów przybyli strażnicy, założyli opatrunki i zawiadomili muszyński grenzschutz o wypadku. W parę godzin później „Piasecki” znalazł się w szpitalu w Nowym Sączu, gdzie go umieszczono w izolatce pod strażą dwóch granatowych policjantów.

W szpitalu ranny dostał się pod opiekę dra Jana Słowikowskiego, członka Ruchu Oporu, który rozpoczął zabiegi mające na celu wyprowadzenie kuriera na wolny świat.

Sprawą zajął się szef Inspektoratu ZWZ, mjr Franciszek Zak. Wykonanie zadania powierzono zespołowi Ochrony Przerzutów i Łączności, w skład którego wchodził: por. Karol Głód, Józef Jennet, Zbigniew Ryś, Zofia Rysiówna i mgr Tadeusz Szafran.

Ustalonej nocy, na początku lipca, służbę policyjną przy chorym pełnili Józef Jeżyk i Józef Laskowicz, obydwaj współpracujący z podziemiem. Aby jednak pozory były zachowane, dr Słowikowski spreparował herbatę z dużą dawką luminalu, którą „nieznana osoba” podsunęła policjantom. A kiedy obydwaj zaczęli chrapać na potęgę, siostra Jadwiga (Józefa Rogowska) wyprowadziła Kozińskiego do drzwi wiodących na tyły szpitala. Tu czekali Głód, Jennet, Ryś i Szafran, którzy przejęli kuriera i zaprowadzili korytem rzeki Kamienicy na brzeg Dunajca, gdzie ukryty w małym łodzi czekał kajak, przy pomocy którego odwiedzono „Piaseckiego” do Marcinkowic i oddano w ręce Jana Morawskiego.

Pierwsze tygodnie spędził „Piasecki” w przytulnym domku gajowego Feliksa Widła w Marcinkowicach, skąd został przetrzebony do majątku Słowików w Kątach; tam przebywał do całkowitego wyzdrowienia.

We wrześniu 1940 r. wyjechał do Warszawy, aby na otrzymane w międzyczasie polecenie rządu emigracyjnego zająć się losem Żydów. Przy pomocy podziemia polskiego i żydowskiego odwiedził „Piasecki” kilkakrotnie getto, przeprowadzając rozmowy z przywódcami żydowskiego Ruchu Oporu i gromadząc dokumenty zbrodni dokonywanych przez hitlerowców na narodzie żydowskim.

W początkach października 1942 r. udał się „Piasecki”, pod nowym nazwiskiem „Jan Karski”, do Londynu, a później do Waszyngtonu, gdzie próbował interweniować w sprawie Żydów u czołowych przywódców alianckiego obozu. W tym też czasie powstało wspomniane dzieło.

Po wojnie wroceno jeszcze raz do książki „Karskiego”. Przetłumaczona i wydana w językach: francuskim, niemieckim, włoskim i duńskim — stała się jednym z głównych dokumentów w tzw. „Sprawie Żydowskiej”.

Szkoda tylko, że autor w powojennych wydaniach nie uzupełnił swej pracy przez pełne podanie występujących w niej miejscowości i osób.

Szkoda również, że „Karski” — dziś sława naukowa za oceanem, profesor Uniwersytetu Georgetown w Waszyngtonie — zapomni o cenie, jaką zapłaciła za jego wolność ziemia sądecka. A była to cena wysoka.

W marcu 1941 r. ktoś, aresztowany w zupełnie innej sprawie, lecz znający pewne szczegóły związane z uprowadzeniem „Piaseckiego” — nie wytrzymał tortur i ujawnił dane, które pozwoliły gestapo ustalić cały skład osób biorących udział w omawianej akcji.

Finał wyspy był tragiczny. W obozach i na placach straceń zgineli: Władysław Gardoń, Karol Głód, Józef Jennet, Józef Jeżyk, Tadeusz Słowikowski, Tadeusz Szafran i Feliks Widł. W więzieniach i obozach przebywali do końca wojny: Jan Morawski, Franciszek Musiał, Zofia Rysiówna i siostry Stefaniszynówny.

Tylko trzech ludzi udało się uratować: policjant Józef Laskowicz, który w krytycznym momencie wydarł się z gestapowskiego osaczenia, oraz obydwaj Rysiowie — Stefan, który przerzucony do Warszawy, pracował do końca wojny w Komendzie Głównej ZWZ-AK i Zbigniew, który poprzez Warszawę dostał się za granicę i pracował do 1945 r. w Polskiej Bazie Łącznościowej w Budapeszcie.

Tatusi oświadczył, że jutro wyruszymy do Popowic na czereśnie. Niecierpliwie czekaliśmy na to jutro. Był piękny słoneczny dzień. Szybko zeszliśmy na brzeg Popradu. Przewoźnik dużych żerdzi posuwał łódź do drugiego brzegu. Podziękował za datkę i życzył szczęśliwej drogi. Pomknęliśmy stronnymi, kamienistymi ścieżkami pod górę. Rodzice walno pokonywali wznieślenia. Coraz szerszy rozciągał się widok na dolinę Popradu. Z lewej ujrzelśmy stary kasztan, rosnący u wrót obęjsia Jasińskich. Jeszcze przed progiem domostwa zapochniało chlebem. Moim oczom ukazało się sieć szeroka, widna, z klepskiem i skrzyniami. Kuchnia z albrzymim piecem, stołami, ławami, szafką z miskami i lyżnikiem, dużym szaflikiem drewnianym, w którym moczyły się garnki jajowatego kształtu, lampą naftową wiszącą na ścianie. Iżbo było obszerna z jasną podłogą, stołem na środku w otoczeniu krzesel, o czysto haftowane pościel puszyło się na trzech łóżkach pod ścianami, nad którymi wisiały obrazy świętych, wieńce dożynkowe, portret słubny gospodarzy i liczne fotografie. Na stole pojawił się śnieżny obrus, talerz z ciastem chlebem, ośleka masła o migdałowym zapachu, róg sera białego, garnek kamienny z kwaśnym mlekiem, osłonięty warstwą śmietany. Czekaliśmy cierpliwie na swoją kromkę chleba, który kroiła gospodyni i podawała kolejno z kubkiem mleka. Co za rozkosz zatopić zęby w czarnym, pachnącym miąższu i odbić zęby w masle. Popić mlekiem ze śmietaną.

Jesienna pogodna niedziela. Wyszliśmy z autobusu przed mostem w Galkowicach. Złowrogo szumiał nurt



• Z KRONIKI KARNAWAŁOWEJ.

1 lutego odbędzie się w salach Ratusza zabawa karnawałowa urządzona na kolonie wakacyjne młodzieży zagrożonej gruźlicą. Prace Komitetu idą w tym kierunku, aby zabawa ta stała się największą atrakcją tegorocznego karnawału. W tym celu Komitet zaangażował dwie orkiestry, aby uniknąć długich antraków, i żeby na sali balowej bez przerwy rozbrzmiewała muzyka taneczna. Będzie to zespół orkiestrowy z Krynicy oraz orkiestra 1 Pułku Strzelców Podhalańskich.

• We wtorek 4 lutego w sali „Sokoła” — PRZYGODY TOMCIA PAŁUCHA, przepiękna baśń dramatyczna w pięciu obrazach wierszem ze śpiewami i tańcem, napisana przez Henryka Zbierowskiego. Reżyseria — Bolesław Barbański. Muzykę M. Leszczyńskiego opracował na orkiestrę p. kapelmistrz por. Władysław Rulc.

• Począwszy od 1 kwietnia zaprzestanie Magistrat pobierać podatek od przedmiotów zbytku: samochodów osobowych, rowerów, motocykli, strzelb, powozów, koni wierzchowych. Samochody i rowery nie mogą uchodzić — przy dzisiejszym rozwoju komunikacji środkami mechanicznymi — za przedmioty luksusu, powozów luksusowych prawie w Nowym Sączu nie ma, zaś podatek od strzelb przynosi znikome dochody.

• **DZIWIE SIĘ POTEŃ BYWATEL** miasta, że nie ma ruchu turystycznego i napływu obcych z zagranicy do Krynicy. Dzwicze się, że do Nowego Sącza nikt nie przyjeżdża i nie zostawia tutaj pieniędzy. Gdy Europejczykowi przyjdzie zanoćwać w tutejszych hotelach, a przypatrzy się rano, jak te łóżka wyglądają, jakie są umywalnie, miednice itd. — to z pewnością nie zechce prędko do Nowego Sącza przyjechać.

• Pękło wielkie serce, serce niedościenne, tkliwe, twarde, a pełne czaru i potęgi, serce wielkiego podhalańskiego mistrza słowa i pieśni — **WŁADYSŁAWA ORKANA**. Zyl z nami, wsłuchując się w cudowny pogwar Tatr, w Porębie, niedaleko Niedźwiedzia, Turbaczka i stamtąd sławę całą Polskę swych swoich pięknych słów i rytmów... Żył będzie na wieki wielkością swoich dzieł pozostawionych i potęgą gorącego serca, któremu tak bardzo ukołchał nasz lud, nasze życie, nasze ubogie, skaliste, a jednak wielkie siłą żywotną Podhale.

• **ŚWIATŁO ELEKTRYCZNE NA UL. KOLEJOWEJ**. Na skutek skarg i zażaleń mieszkańców ulicy Nawojowskiej, baraków im. Arciszewskiego i Kolonii kolejowej na brak bezpieczeństwa przy przechodzeniu ul. Kolejowej w okolicy baraków im. Arciszewskiego, szczególnie porą nocną ze względu na awanturników, zamieszkujących część wymienionych baraków — Magistrat postanowił zainstalować tuż obok baraków dwie lampy elektryczne, w samych zaś barakach telefon.

• **WOJNA O. AKUSZERKE**. W gminie Łososina Dolna zaczęła się niewłaściwie najzupełniej walka o akuszerkę. Rozporządzeniem odnośnych



W latach 1929—1939 ukazywało się w Nowym Sączu czasopismo „Głos Podhala” o podtytule **aktualny tygodnik powiatów: gorlickiego, grybowskiego, nowotarskiego, nowosądeckiego, makowskiego i żywieckiego**. Pismo osiągało nakład 1200 egzemplarzy przy objętości 4—10 stron, w wydaniach specjalnych 20—32 strony.

Poniżej prezentujemy wybór informacji zamieszczonych na łamach „Głosu Podhala” w roku 1930, a więc pół wieku temu.

władz została niejaka Michalina Klimkowa ustanowiona rejonową akuszerką, tymczasem panu wójtowi przyzwyczajonemu do tzw. babek nie spodobała się i dlatego rozpoczął jej bojkot. Zarzuca p. Klimkowej, że wzywa czasem lekarza, że nie polega na wyłącznych swych znajomościach albo w wypadkach niepewnych żąda pomocy lekarskiej...

• **ZAMEK JAGIELLONÓW ROZSZYPUJE SIĘ**. Przechodząc pod naszym historycznym zamkiem uderzają w okno drewniane pilastry, podtrzymujące obsuwające się mury zamku. Naprawa zamku królewskiego jest koniecznością pierwszej wagi. Stąd rzeczka komitetu renowacyjnego i obywateli nowosądeckich jest co rychlejże odnowienie zamku, gdyż w przeciwnym wypadku możemy się doczekać tego, że pewnego pięknego dnia zamek nasz historyczny runie. Równocześnie byłoby wskazane, aby otworzyć drogę, prowadzącą pod zamkiem, którą ktoś, sadząc sobie fasolę i inne jarzyny, zamknął bezprawnie drewnianą barierą.

• **KRAKOWSKIEJ DYREKCJI KOLEJOWEJ DO WIADOMOŚCI**. Od pół roku na głównej stacji Nowy Sącz w westibulu nie ma zegara. Wydawało się, że odnowienie dworca doprowadzi do wprowadzenia nowego zegara, niestety zegara nie ma i to... na kolei. Jest to sprawa piękna i dziwna, że naczelnictwo stacji nie myśli o tej bolączce.

• **AUTOBUS** puszczony na trasę do Tarnowa zepsuł się bezapelacyjnie na Juście tak, iż pasażerowie musieli się przeprawić Dunajcem do Marcinkowic i wrócili koleją do Nowego Sącza.

• Dnia 7 bm. o godz. 12 w południe zmanifestował Nowy Sącz i cały powiat potężne swoje uczucia patriotyczne, urządzając przy współudziale olbrzymich tłumów pamiętną **MANIFESTACJĘ** przeciwko bezzasadnym

roszczeniom niemieckim zmierzającym ku oderwaniu od Polski rdzennie polskich ziem naszego Pomorza.

• **AMATORSKI TEATR DRAMATYCZNY** rozpoczął w Nowym Sączu sezon sztuką Moliera „Lekarz mimo woli”. — Sztuczka lekka, oprócz głupich przedwiecznych i modnych przed wielkimi napadów na lekarzy, nie zawiera nic ani mądrego, ani pouczającego, gra aktorska i reżyseria stoi na tak niskim poziomie, że szkoda czasu i atlasu na jakkolwiek szczegółową recenzję krytyczną. Wrażenie po przedstawieniu: ostrzeżenie publiczność przed kupieniem biletu na drugie przedstawienie „Lekarza mimo woli”.

• Z końcem ubiegłego tygodnia Ministerstwo Przemysłu i Handlu w Warszawie przyznało dyplom wraz z medalem brązowym jako **ODZNACZENIE DŁA NOWEGO SĄCZA** za pracę w kierunku nowoczesnych urządzeń kulturalnych w mieście.

• Kroniki policyjnej w tym tygodniu z komisariatu Nowy Sącz nie otrzymaliśmy, dlatego nie bierzemy pełnej odpowiedzialności za nasze konfidencje informacyjne.

• **ZNOWU BITKA NA WESELU**. Dnia 15. X. br. w domu Antoniego Szkarłata w Starej Wsi odbywała się

zabawa weselna. Około godz. 20, gdy uczestnicy byli już w humorach pod wpływem mocy 45%, wynikła pomiędzy nimi a muzykantami kłótnia o zapłatę i pierwszeństwo w tańcu, która wkrótce przemieniła się w bójkę, podczas której lekko uszkodzeni zostali na ciele: Mikołaj Józefowski ze Świdnika, Piotr Pulit ze Zbyszyc, obaj w głowę, oraz Władysław Szewczyk w lewą rękę. Poturbowani oni zostali laską z kopiańską (ciupagą). Do większej bójki, na jaką się zanosilo, nie doszło z powodu wkroczenia policji.

• Około godz. 21.30 Stanisław Kruczek oraz Fryderyk Plata napakali w Dąbrowce niemieckiej podchmielnego Władysława Nowakowskiego z Bielowic. Kruczek pod groźbą domagał się od Nowakowskiego pożyczki pieniędzy, a gdy spotkał się z odmową, skoczył razem z Platą do Nowakowskiego, pobili go po głowie i twarzy jakimś tępym narzędziem, wskutek czego Nowakowski posiada widoczne obrażenia cielesne. Nowakowski uciekł do szynku Kolbera celem schronienia się, zaś Kruczek z Platą przybyli tam za Nowakowskim. Kruczek wzmawiał Nowakowskiemu, że długo się razem znają i żądał, aby mu kupił wódki. Gdy Nowakowski kupił mu zamiast wódki flaszkę piwa, Plata uderzył go ręką w głowę, a wtedy Nowakowski bronil się przed zadawanymi razami. Ponieważ w czasie szamotaniny się rozzerwał sobie Kruczek rękaw bluzy, zażądał od Nowakowskiego za rozprucie kwotę 40 zł, podczas gdy cała bluza warta około 10 zł. Kruczek następnie zagroził Nowakowskiemu, że jeżeli mu nie zapłaci za rozprucie rękawa 20 zł, to go zabije przy świadkach i nie puści żywego, twierdząc, że nikogo się nie boi, bo ma przy sobie rewolwer, przyczem żądał wódki. Nowakowski z obawą przed pobiciem zapłacił Kruczkowi 10 zł za rzekome rozprucie przez niego bluzy, nado kupił i dał mu pół litra wódki, poczem ostatecznie się rozeszli.

• **ZNOWU AUTOBUS SADECKI W ROWIE**. Dnia 5 bm. jadący do Krakowa pasażerowie ujęli pod Wieliczkę w rowie autobus jakiejś żydowskiej firmy nowosądeckiej. Do kogo wóz należy nie mogliśmy dociec, w każdym razie jest to znowu dowód wartości niektórych autobusów. Kiedy wreszcie ten autobusowy bałagan się skończy?

Wybrał: JERZY LEŚNIAK



Pracownicy kolei budują „Samopomoc” (1909 r.)

Repr.
JOANNA
GAJDA

Dunajca. Poprzez posesję gospodarza dobiłszy do celu. Duże zabudowania gospodarcze zamykały kręgiem błotniste podwórko, po którym biegały zwierzęta domowe. Gęsi z syczeniem skłaniały się do naszych nóg. Indy z bulgotem skrzydłami rysował wzory na błocie. Strumieniem płynęła cuchnąca gnojówka z odkrytego dołka. Świnia leżała w błocie. Żrebak z ciocielkiem biegały wesoło. Przeróżał mnie ten widok. Zaproszeni, weszliśmy do szerokiej sieni, z której na lewo wchodziło się do kuchni, a przez nią do pomieszczeń czeladnych, zaś na prawo mieściły się zimna i ciepła izba. Postaci gospodarza o łyszej głowie dodawały surowości proste i skromne meble. Żona zwracała się do niego per „gospodarzu”, chociaż urodziła mu dorodnego syna i prowadziła dom. Wnieśliśmy obiad. Do reszły podano czarny chleb. Zjadłam kawalek resztę pozostawiłam, aby potem delektować się jego smakiem. Przy obiedzie towarzyszył nam gospodarz. Na próżno czekałam, kiedy wejdzie gospodyni i pozostali członkowie rodziny. Synowa gospodarza sprawnie, w milczeniu, podawała do stołu i znikła. Wcisnęła, zaglądając do kuchni i alkowy: tam na ławach przy stole siedzieli pozostali członkowie rodziny z czeladzią, sięgając drewnianymi łyżkami do wspólnych glinianych mis. W jednej były ziemniaki kroszone, a w drugiej mieszanina z maki i mleka. Jedli ziemniaki popijając polewką.

Maly domek Antosi z sienią otwartą w dwu kierunkach, kuchnię z klepskim i izebką. Cztery płowe głowy wystawały spod derki szarej, skapo zakrywającej

słomę wystającą z przycz. Gorące mleko dymilo w garnuszku. Obok leżał kalacz upieczony na listku kapusty. Cztery pary oczu patrzyły na stół. Ten kalacz był tylko dla mnie. Poczulałam się syta. Sącylałam mleko powoli, łykami. Wreszcie przypomniałam sobie o śniadaniu, które miałam w koszyczku: chleb biały z masłem i żółtym serem. Wyjęłam go ostrożnie z koszyczka, rozwinęłam papier: kanapka była mała. Podzieliłam biały chleb i kalacz, z którego dla siebie odkryłam tylko mały kawalek, na skosztowanie. Tego widoku nie zapomniałam nigdy: wychudłe rączki wyciągnęły się gwałtownie po chleb, a buzie szybko pochłaniały kęs, jakby w obawie, że ktoś im za chwilę odbierze ten przysmak.

Paszyń. Żyćwiele zaproszona do kancelarii, znalazłam się w innym świecie, wyzwarowanym rekoma dzieci i dorosłych. Prosta forma i koloru urzekły mnie świętą. Oczarowana ich widokiem krążyłam za przewodnikiem, a zarazem opiekunem miejscowych artystów, księdzem dziekanem Edwardem Nitką. Biedacy, głuchoniemi, niedorozwinięci, starcy i dzieci, wściepiali swoją wyobraźnię w rzeźby. Nawet gospodyni plebani duchem artystycznym została natchniona i malowała na szkle. Pokazała mi swoje plety. Byłam jeszcze pod wpływem nieziemskiego światła, kiedy na stole pojawił się bochen prawdziwego, ciemnego, większego chleba, obok masła, białego sera, grzanek kielbasy na pięknej zastawie. Co za rozkosz jeść chleb, czarny, w towarzyszyście tylu dusz ludzkich zaklętych w figurkach. Delektowałam się chlebem z masłem i serem, tu w otoczeniu istot naziemskich, nie mogłam jeść zbyt przyjemnej kielbasy.

choć pachniała bardzo swojsko. Ale chleb był taki sam, jak ten z dziecińczy lat.

Po powrocie z uciekinierki zastaliśmy dom pusty. Nie było kęsa chleba, szczypty maki. Kopaliśmy ziemniaki w ogrodzie: smakowały jak nigdy. Można je było jeść dzień, dwa, a potem... Sąsiadka przyniosła kawalek chleba upieczonego na proszku. Rósł w ustach. Obficie popity mlekiem, ledwie przeszedł przez gardło.

Mój jedyny brat niespokojny z usposobienia, żądną przygod, zadarł z synem pewnego gestapowca. Trzęba było uciekać. We dwóch postanowili z kolegą przejść przez zieloną granicę w Piwnicznej. Kiedy już mieli wyruszyć, zjawiła się nasza babcia, przynosząc duży bochen razowego chleba. Podwójne kromki tego właśnie razowego chleba z masłem i jajkiem, zapakowane ręką matki, powędrowały do kieszeni studenckiego płaszczka. Żegnaliśmy brata, smukłego, uśmiechniętego. Pierwszy raz zobaczyłam w oczach ojca łzy. Nie danym mu było więcej zobaczyć jednego, ukochanego syna... Ja zobaczyłam go dopiero po trzydziestu latach. Samotnie odwiedził grób ojca.

Czy znajdzie jeszcze ten czarny chleb w domach za wspomnień, czy znajdzie te same domy i domowników? Czy potrafię sama upiec taki bochen w swojej kuchni w blokach?

W sali numer osiemnaście leżało nas czterech, ale tylko ja jeden znalazłem się tu z powodu głupich figli: jadąc na nartach wyleciałem z zakrętu i wyrzuciłem plecami w drzewo. Pozostali pacjenci byli to ludzie starsi, wszyscy po sześćdziesiątce, chłopcy, zchorowali wioletową chorobą. Wszyscy trzej „oberwali się”, dźwigając ciężary ponad siły.

Dwaj pochodzili z pobliskich wiosek, trzeci zaś z Sandomierza. Przywieźli go do nas do Zakopanego helikopterem, z nim było. Popłakiwał się strachu przed czekającą go operacją i nie mógł się doczekać chwili, gdy Tatry wyjdą zza chmur, bo jeszcze nigdy w życiu gór nie widział, a spodziewał się śmierci.

Po paru dniach zabrali go na salę operacyjną. Zostało nas trzech: Dziadek z brudnymi nogami, Spiszak i ja.

Ja byłem w najgorszym stanie: w płucu miałem dren, ruszać się mi nie było wolno, bolało jak wszyscy diabli. Dziadek i Spiszak mieli to już za sobą. Spiszak od tygodnia czytał wciąż ten sam numer gazetki „Gość Niedzielnego”, a Dziadek gapił się w okno całymi godzinami, by około południa skonstatować z powagą:

— Jedne auta jadom hajta, a drugie wišta. Jadom i jadom, nie wiedzieć ka.

Spiszak podnosił wzrok znad gazetki i stwierdzał:

— Ne dy jadom. A bodejta, niekze jadom.

I rozmowa zamierała, ponieważ powiedziano już wszystko, bez zbędnego wodolejstwa.

Tuż za oknem, po gałęziach starych modrzewi, biegały wiewiórki. Od czasu do czasu przelatywał śmigłowiec, budząc podziw Spiszaka. Dziadek po raz nie wiem już który snuł marzenie swego życia: przejechać się kolejką na Gubałówkę, choćby jeden raz. O Kasprowym nie marzył — brakło mu śmiałości. Ja zaś leżałem bez ruchu, patrzałem w sufit i nie miałem żadnych marzeń.

Po jakimś czasie poprawiło mi się na tyle, że byłem prawie tak sprawny, jak Dziadek — to znaczy mogłem o własnych siłach przejść przez pokój. Wracając powoli do zdrowia, zaczynałem się nudzić, wypytywałem lekarzy o termin wyjścia ze szpitala. Spiszak wciąż czytał „Gościa Niedzielnego”, za to Dziadek zmieniał płytę; powtarzał teraz do znudzenia, że jest wdowcem i żenić się po raz drugi nie ma zamiaru, nazywał lekarstwa gorzalką albo czekoladą, a także wyliczał, ile ma dzieci, zięciów, synowych i wnuków. Była tego chmara; nie więc dziwnego, że Dziadek raz po raz się mylił.

Monologował sobie, w sufit patrząc i brudne nogi spod koldry wystawiając, a ja zapamiętałem tylko tyle, że Maryna wydała się przed dziesięć laty aż w Kikuszowej, zaś najmłodszy Jasek ma dopiero dwadzieścia lat, jest kawalerem, za dużo pije, a wszystko przez to, że dobrze zarabia. Pracuje na Śląsku, w kopalni. Dziadek zaś nie byłby znalazł się w szpitalu, gdyby nie to, że zarzucił sobie na grzbiet ciężkie sajty, coś w nim lupnęło, wątpia się przekreślić od ciężaru czy co, ruszyć się z miejsca nie mógł, więc go pogotowie tu przywiozło. Jasek, ściągnięty na gwałt z Katowic, pilnuje gospodarstwa. Ciekawość, czy będzie mu się chciało zaościć i zasiać. Ciekawość, czy krowy na czas pojone i czy wydojone porządnie. Ciekawość, czy kur jastrząb nie porwał. Pielęgniarki i salowe zagadywały do Dziadka, docinały mu dobrotliwie z powodu tych brudnych nóg, sterczących przez żelazne pręty zaplecka; Dziadek wyjaśniał cierpliwie, że przez całe życie chodził boso, ziemia warła mu się w stopy i nic już na to poradzić nie można. Nogi są czyste, tylko po prostu nabrały z biegiem lat takiego koloru. Nie ma się czemu dziwić.

Słowem, czas płynął nam raczej nudnawo. Zajmowały nas wiewiórki, obłoki, zastrzyki, pigułki, panorama Tatr, los operowanych, brudne nogi Dziadka, wyczekiwalni zbliżający się Wielkanoc i snuśmy domysły, czy nas wypuszczą do domu przed świętami, czy też nie.

Aż tu do sali numer osiemnaście najniepodziewaniej wtargnęła jałówka Dziadka, czyniąc wielkie zamieszanie i wciągając nas na powrót w wir życia. Przyjechała do Zakopanego wczesnym rankiem, kiedy odwiedziły chorych są surowo zabronione, przedarła się przez portiernię, minęła zaskoczonych lekarzy i pielęgniarki, i wpadła jak bomba do naszego pokoju akurat w momencie, gdy naciskał guzik dzwonka, by poprosić o basen. To znaczy nie jałówka, tylko Maryna — ale w sprawie jałówek.

Dziadek leżał sobie z rękami pod głową, a wzrok utkwił w mięt w kalarchu. Dumał, młodość wspominał. Gdy zobaczył Marynę, aż go poderwało z łóżka.

— Jezusie, Maryjo, a kiz to diasi? — zawołał.

Maryna wyglądała strasznie. Rece jej się trzęsły, a tusz rozsmazał się po policzkach, tworząc czarnozielone zaciek. Na przemian zalamywała ręce i chwytała się za głowę. Widać było, że trochę pozuje — ale widać było także, że jest rzeczywiście zdenerwowana.

— Tato, Jasek chce mnie usadzić do więzienia! Milicja na mnie w nocy nastła! Przyjechali, dzieci pobudzili, zagladali do szopy, szukali jałówki, a Jasek był z nimi, przynapiły był i strasznie kiął, adwokatem mi wygrażał, wrzeszczał, że mnie dobije gdzie nożem, że mnie po łożku pchnie! Aż go plutonowy nie chciał puścić z gazika, żeby biłki nie było! Takiego macie syneczka kochanego, tato! Tęskniecie go sobie wychować! Jeszcze uwidzimy, kto kogo!

— I co, znalazła się jałówka? — spytał Dziadek. Wyjął z szafki jabłko i zaczął jeść.

— No pewnie! Znalazła się, bom ją wzięła! Moja jest, tom ją wzięła! Przecie wyjście już na umarcu,

a po co zostawiać jałówkę Jaskowi? Obiecaliście mi ją po waszej śmierci, czy nie?

— Ale ja jeszcze żyję, chwalić Boga — zauważył spokojnie Dziadek.

— E, takie tam życie. W szpitalu, to już jak jedną nogą w grobie — machnęła ręką Maryna, zdziwiona nieco, że musi wyjaśniać rzecz tak oczywistą. — A jałówka przecie moja, więc żem ją wzięła od was ze szopy, jak Jasek poszedł do lasa drzewo kraść. Złodziej jeden, z waszego lasa smreka wyciął i przepił z kolegami, takimi jak on.

— No to po coż ku mnie przyszyła, jak jałówka twoja? — spytał Dziadek z ironią i zmęczeniem w głosie.

— Żebyście mi to dał na piśmie! — zawołała Maryna, ucieczona, że jej tak łatwo idzie. — Jak napisiecie, że jałówka moja, żeście mi ją dał, to milicji nic do tego!

— A Jasek zapłaci za to, że im niepotrzebnie głowę zawracał — uzupełnił Dziadek.

— No dy właśnie. No dy właśnie! — ucieczyła się Maryna. — I bardzo dobrze. Niechże mu wypierzą kolegium za wprowadzanie władzy w błąd. Sumiennie mu się należy.

— Popatrzaj w lustro, zobacz, jak wyzieras — powiedział Dziadek.

Antoni Kroh

DZIADK Z BRUDNYMI NOGAMI

(opowiadanie)

Maryna wstała z krzesła, przekonana, że sprawa zatłwiona, i przejrzała się w lustrze. Zająkała radośnie, umyła sobie twarz i wytarła się w wiszący najbliżej ręcznik. Na szczęście nie mój.

Była już zupełnie spokojna.

— A teraz jedź do domu. Nie chce mi się z tobą ukwalać. Przyjeżdżcie razem z Jaskiem, to uradzimy, co robić. Samaś sobie winna, nie trzeba było jałówki brać.

Rzuciła na ojca nienawistnie okiem, ale szybko się opanowała.

— Sameście przecie powiedział, że jałówka moja. To mi dajcie to na papierze.

Dziadek wciąż nie pokazywał niczego so sobie. Widać, że życie nauczyło go niejednego.

— Idź se teraz, idź do domu, przyjeżdżcie jutro z Jaskiem. A teraz nie proś, bo ci nic nie dom.

— Wyście zawady bardziej kochał Jaska, jako mnie — powiedział.

Dziadek milczał.

— Zostańcie z Bogiem — warknęła wściekle kobieta.

— Boże cię prowadź — odpowiedział łagodnie Dziadek i odwrócił się do okna. Drzwi huknęły. Dziadek zagapił się przez okno i powiedział po głębokim namyśle:

— Jedne auta jadom hajta, a drugie wišta. Jadom i jadom, nie wiedzieć ka.

Spiszakowi nie chciało się odpowiadać. Czytał „Gościa Niedzielnego” i nawet nie podniósł oczu.

Dziadek wyszedł z pokoju, powłócząc nogami. Spiszak wstał, przeciągnął się, uważnie obejrzał granatowe chmury, kłębzące się nad Tatrami. Powiedział powoli:

— Pamiętam takie chmury z wojny, jakeśmy bili... To było w czterdziestym czwartym roku, tośmy już wtedy bili Niemca. Takie iste były wtedy chmury zaskakujące nad Rozsutem.

Dziadek po chwili wrócił. Wyciągnął się na łóżku, wystawił brudne pięty spod koldry, wbił wzrok w sufit i rzekł do siebie melancholijnie:

— Nawet prewet mi zażęł, co za dzień dziś. A bodejta, a bodejta.

Następnego dnia raniutko, przyjechali Maryna z Jaskiem — rzecz jasna osobno. Wpadli do pokoju

prawie równocześnie. Dziadek już od dawna nie spał. Trwał na swym stanowisku przy oknie i obserwował kicające wiewiórki.

Jasek był trochę przynapiły, a Maryna rozgrzana emocją. Podskakiwała śmiesznie i machała rękami, niby bokser przed pierwszym gonim.

Zaraz też naskoczyła na siebie. Miłośnik ojczystej mowy miałby tzw. duchową ucztę, słuchając tyłu wywisk jednego po drugim, ale mnie nie chciało się słuchać; leżałem, próbując czytać gazetę, i tylko od czasu do czasu wpadały mi w ucho melodyjne frazy: ty małpo, hajzeldziuro, ty sufraganie, agregacie, ty jancykryście zmortyzowany, ty polatuchu — oraz wiele innych. Przy okazji wyszło na jaw, że Dziadekowi poginęły kury, prześcierała, ręczniki i wszystko teraz pójdzie na Marynę. Chodnik-smaciak gdzie wyparował, a gdyby tak poszukać u Maryny w chałupie, w izbie na pięterku, pewnie by się znalazł, kolorowy szmaciak, co go Dziadek w Rabce na jarmarku kupił, bo im się bardzo zwiadzał. Jałówka była cielna, jeśli teraz zrzuć, to Maryna będzie musiała zapłacić. Warto było rodzone mu tatowi kraść, siostrzyczko? Ha, ha! A milicja bardzo ciekawa, braciśku, kto na zabawie w Jordanowie pchnął nożem Stefaniaka z Osiełka. Ledwie się z tego wylizal. Ha, ha — roześmiał się Jasek — a milicja pewnie też ciekawa, kądędy chodzisz na przemyt, siostrzyczko, z kim się umawiasz po słowackiej stronie, co przynosisz i gdzie sprzedajesz, ha, ha! Przyjadą do ciebie nocą, to pewnie co w szopie znajdą, jak znaleźli jałówkę, a wtedy uwidzimy!

Urządzali tak sobie jeszcze z pół godzinki, mieszając współczesne wywiska z renesansową polszczyzną. Dziadek zaś siedział w smętnej pozie i powtarzał co pewien czas bez większego przekonania:

— Ne dy pogódzcie się, dzieci moje, ne dy pogódzcie się, przecie mi rodzina.

Wiewiórki z modrzewia gdzieś uciekły, a Spiszak czytał uparcie „Gościa Niedzielnego”.

Wreszcie klótnia zaczęła słabnąć. Jasek nasycał się z wolna swym krzykiem, jak pospiesznie polkanym obiadem. Marynę opuszczał bojowy duch. Było już jasne, że nie wygra. Rozpłakała się.

Dziadek popatrzał na nią smutno.

— No i po co ci to było, dziecko? Zbogaciłaś się na tej jałówce, nie ma co gadać, pięknie się zbogaciłaś. Wstydu się tylko najemy przez ciebie. Musisz teraz traktor wynajmować i gadzinę odwozić. I jeszcze ci pewnie kolegium usuną. Tyleś wygrała, dżeczko.

— A skądże miałam wleźć, że przetrzymacie to wszystko i będziecie się brać do chałupy? — chlipnęła Maryna. — Przecie jak was do szpitala brali, to się widziało, że niedzieli nie dożyjecie. Chcieliście pewnie, żebym wszystko zostawiła temu urodosiowi, temu pijakowi zarzyganemu? Przecie chciałam mieć po was jakąś pamiątkę, bo was strasznie kocham, tatusiu! Kto mógł wiedzieć, że was w tym szpitalu przecie jednak wyleczą?

I zaniósł się nieco sztucznym szlochem.

— Ne dy napiszcie, panie, kiz tak padło, bądźcie, panie, taki łaskaw — powiedział Dziadek i delikatnie się do mnie uśmiechnął.

Usiadłem więc przy stoliku i wystylizowałem piękne urzędowe oświadczenie:

„Ja... urodzony... zamieszkały... oświadczam, że nie dawałem swojej córce Marii... zamieszkałej... w prezencie jałówki ani w ogóle żadnych prezentów jej w tym roku nie dawałem. Córka wzięła jałówkę z obory bez mojej wiedzy. Jednocześnie oświadczam, że córce przebaczyłem i proszę Władzę o umorzenie całej sprawy pod warunkiem, że córka odprowadzi jałówkę w ciągu trzech dni. Zakopane, dnia...”

Potem z wielkim harnidrem wpadliśmy do szpitalnej kancelarii. Dziadek w obecności przerażonej urzędniczki postawił na sporządzonym przeze mnie dokumencie trzy krzyżyki. Jasek nadal wymachiwał rękami i zionął ogniem z pyska niczym diabeł na starej rycinie, urzędniczka przystawiła pieczęć, stwierdzając autentyczność krzyżyków, Jasek porwał papier, potoczył dumnie wzrokiem, schował ostentacyjnie papier do plastikowego pupilaresu ze złoconymi brzegami i herbem Gdańska, i skierował się do wyjścia, kłnąc, gesty pełne ekspresji wykonując. Maryna za nim, wrzeszcząc i złorzecząc. Wreszcie my z Dziadkiem, powolutku, powolutku, odpoczywając co kilka kroków, trzymając się ścian.

— Ani wam nawet pochorować spokojnie nie dadzą — powiedziałem, chcąc się Dziadkowi podlizać (właściwie nie wiadomo po co, bo mnie to przecież nic a nic nie obchodziło).

— Ne dy uwidzicie. A bodejta, a bodejta — pokiw głową Dziadek i zaraz zmienił temat rozmowy na taki, który dotyczył nas obydwu.

— Puszczaj nas do domu przed świętami?

— Was pewnie puszczą, ale ja zostanę, bom przecie później przyszedł.

Dziadek się uśmiechnął.

— Jak nas wypuszczą jednego dnia, panie, to wyjdziemy razem kolejką na Gubałówkę. Ja stawiłam. Wjdziemy i zjedziemy.

— Warto się wybrać. Z góry widać całe Zakopane, a jak ładna pogoda, to i Tatry. Można tam popatrzeć na Giewont przez lunetę i napić się piwa.

— No to postawim wam piwo — rozochocił się Dziadek. — A drogie to patrzeć przez lunetę?

— Chyba dwa złote, może trzy.

— E, to niedrogo.

Weszliśmy do sali numer osiemnaście, obaj zmęczeni. Dziadek położył się na łóżku, przymknął oczy.

Wieś jest bez wątpienia bogata. Mieszkańcy D. umieją wyciągać korzyści nie tylko z urokliwego położenia swojej miejscowości, ale także z faktu dogodnego dojazdu do pobliskiego, przemysłowego miasta. Co kilka kroków widać więc w D. nowe budynki mieszkalne, schludnie utrzymane obejścia. Tutejsi chłopcy-robotnicy przywożą z miasta zarówno miesięczne pensje, jak też wozory nowoczesnego życia. Okazuje się jednak, że łatwiej wypłenić upodobania do przyszłowiej już matki z jeleniem nad małżeńskim łóżkiem, niż przekształcić mentalność, ukształtowaną przez wiejską tradycję.

Przed kilkoma miesiącami w D. dwóch młodych, 19-letnich chłopców, zgwałciło swoją rówieśnicę. Sprawą zajęła się prokuratura, a potem sąd wydał skazujący wyrok. Jerzy M. i Marian T. otrzymali kary po 4 lata pozbawienia wolności. Teraz najbliżsi skazanych twierdzą, że młodych chłopców spotkała zupełnie niezasłużona kara. Niezasłużona, gdyż w sądzie jest „straszne cygaństwo”, a za ten gwałt nie można winić ani Jurka, ani Mariana, lecz wyłącznie dziewczynę — czyli Bogumiłę J...

Murowany domek Janiny i Wojciecha M. stoi tuż obok głównej szosy przecinającej wieś. W jego bezpośrednim sąsiedztwie mieszka dziewczyna, która do tragicznego dla siebie wieczoru uważana była za koleżankę Jerzego M. i Mariana T. Teraz koleżanką już nie jest, a matki chłopców nie szczędzą pod jej adresem epitetów w rodzaju: „smykula”, „chuliganka”, „dziwka”. Wina Bogumiły polega tylko na tym, że złamała niepisane wiejskie prawo: zamiast zachować dla siebie fakt gwałtu, naraziła na niepotrzebne przykrości „fajnych chłopaków”.

Jerzego i Mariana większość mieszkańców D. nie uważa za przestępców. Cóż, młodzi są, potrzeby mają, więc wzięli dziewczynę i poszli z nią do krzaków. Gdyby bardzo nie chciała, to przecież z nimi by nie szła...

— Jak ona byłaby moją córką — mówi matka Mariana T. — to tak bym ją wyrzuciła, żeby popamiętała. Bo po co poszła z chłopcami, po co?

— I zostaloby wszystko po cichu — dodaje mamusia Jerzego M. — Zatailiby i nie byłoby wstydu po całej wsi. Nie byłoby też gadania, sądu, milicji i całego kłopotu. Dziewczyna do takich rzeczy to się nie przynaję. Ale to musi być porządna dziewczyna.

— Tak, tak. To nie jest porządna panna. Tak panna nigdy nie robi.

Matki chłopców są bezsilne. Nie trafia do nich argument, że tamtego wieczoru Bogumiła w sposób najbrutalniejszy po raz pierwszy poznała to, co dla dziewczyny w normalnych warunkach jest wielkim i niezapomnianym przeżyciem. Bogumiła stała się kobietą wbrew swojej woli, zmuszona do zaspokojenia samczych instynktów swoich kolegów i sąsiadów. Jej dramat nie tu nie waży. Liczy się tylko to, że dzięki niej dwie rodziny zostały wpędzone do „prawdziwej biedy”.

— Musieliśmy się bronić — głos matki Jerzego. — Mieliliśmy dla syna 13 świadków i adwokata, a tu przecież kosztuje. Rencistka jestem, miż też rencista...

— A ja wdowa jestem. Pięcioro dzieci miałam i żadne nie było w kryminalu — mówi z płaczem matka Mariana T.

— Teraz to jeszcze nie koniec. Jurkowi przyszło płacić duże koszty, a wszystko idzie w tysiące. Skąd wziąć tyle pieniędzy? Zapożyczyliśmy się. Zwrać trzeba i żyć też.

— Mojemu też koszty dali. Skąd taki młody chłopiec znajdzie tysiące dla sądu? I to wszystko przez tę smykulę!

Magnetofonowa taśma rejestruje wypowiedzi dwóch matek. Wiś nie była by jednak wsią, gdyby obok sprawy gwałtu nie pojawił się wątek sąsiedzkich antagonizmów. Zresztą po kilkunastu minutach obydwie kobiety zapomniały zupełnie o Bogumili, sądzie i wyroku. Liczy się teraz tylko to, że matka dziewczyny to kobieta mściwa i niedobra. Jest też bogata, bo ma „hektary” i szczyty się nimi przed sąsiadami. — Ona — mówi matka Jerzego M. — na moim polu kawał szopy postawiła. Upominałam się o swoje. Pisma do urzędów pisałam, nie chciałam swojego popuścić. Chcieli się więc zemścić i dlatego do sądu o gwałt podali. Biednemu to zawsze trudno. W gminie jest straszne cygaństwo i w województwie też jest cygaństwo...

Fragment listu:

...ta biedna Bogumiła w drodze do pracy, w pociągu, ujawnia na co ją stać. Mężczyzn zaczyna i chętnie by się każdemu oddała. Dlatego radzimy to właśnie zbadać, jak również zebrać informacje o gołku mieszkańców. Wenczas dopiero ujawni się całokształt zachowania i prowadzenia się tej niby pokrzywdzonej”.

W cytowanej korespondencji co kilka zdań pojawiają się lapidarne określenia Bogumiły J. A więc „smykula”, „pijaczka”, „biedaczka”, itp. List jest zwy-

dziewczyźnie spacer. Bogumiła J. nie podejrzewała niczego złego. Tych dwóch znalazł od wielu lat, chodzili do jednej klasy, ich domy sąsiadowały ze sobą. Dopiero w pobliskim zagajniku koledzy przestali być mili i uprzejmi.

Pierwszy zaczął Jerzy M. Próby natchnionych pieśńców, jednoznacznie naniestowane chęci. Gdy próbowała się opierać najpierw ją wyśmiali, a potem zagrozili, że pobiją. Niech nie udaje takiej „cnokti”. Mają ochotę, więc dziewczyna powinna mieć taką także. Prawdziwa kumpela wie, jak trzeba postę-

dziła im o swojej tragicznej przygodzie. Rankiem zjawiła się w budynku komendy MO. Złożyła doniesienie o przestępstwie, a także własnoręcznie napisała oświadczenie, że domaga się ścigania sprawców gwałtu.

Dochodzeniowa machina poszła w ruch. Jerzy M. i Marian T. zostali zatrzymani. Prokurator podpisał nakaz aresztowania. Gdy za gwałcicielami zamknęła się brama aresztu śledczego, Bogumiła J. przebywała w ginekologicznym gabinecie. Lekarz jednoznacznie stwierdził u dziewczyny świeżą deflorację. W wystawionym zaświadczeniu wymienił także i inne obrażenia, doznane przez poszkodowaną, ograniczające się — trzeba to przyznać — do kilku otarć naskórka.

Mieszkańcy D. są jednoznaczni w swoich opiniach. Co się stało, to się stało i nikt się o tym nie powinien dowiedzieć. Wśród kilkunastu moich rozmówców nie było ani jednego, który postępowanie dziewczyny po gwałcie uznałby za słuszne.

— Gdyby każda dziewczyna ze wsi — twierdzi stary gospodarz — szła do sądu po tym, jak ją chłop wziął siłą, toby sądy nic nie robiły, tylko nad gwałtami musiałyby radzić. Jak dziewczyna jest uczciwa, to uczciwa i gwałtu nie ma. Ale jak poluje na chłopów, a potem gdy już do czegoś dojdzie robi rejuach, to jest zupełnie nie w porządku. Takie jest moje zdanie.

— Porządna panna — głos kobiety zastrzegającej, że należy do bezstronnych — nigdy się nie przynę, a miała coś wspólnego z chłopem. A do sądu chodzić z takimi sprawami, to już naprawdę straszny wstyd. I co z tego wszystkiego Boguśce przyszło? Chłopcy mieli niepotrzebny kłopot, a o niej mówią teraz we wsi i pokazują palcami. Jest już naznaczona i to naznaczona na zawsze. Kto się z nią teraz ożeni? Żaden kawaler od nas ani z okolicy za żonę ją nie weźmie. Będzie musiała sobie z D. wyjechać...

W kilkanaście dni po moim powrocie z D. nadszedł na mój adres list podpisany przez rodziców Jerzego M. Mam prawo przypuszczać, że i ta korespondencja została zamówiona u jakiegoś domorosłego „pisarza”. W liście zaś czytamy m. in.: „...ponieważ sprawa, z którą był pan u nas jest szczególnie ważną, tym więcej, że w obecnym stadium sprawą tą jest zainteresowana i Rada Państwa i Ministerstwo Sprawiedliwości, bowiem oszczercza kampania przeciwko naszemu synowi musi być zaprzestana, gdyż wywiad w tej sprawie pan przeprowadzał tendencyjnie, zaś publikowanie takiego wywiadu jest wprost niedopuszczalne. Jako rodzice pokrzywdzonego (sic!) będziemy bronić naszego syna. Dlatego stanowczo żądamy nie pisanie nic o naszym synu i wybielania rzekomo pokrzywdzonej Bogumiły”.

Trzymam ten list w ręce i nachodzą mnie smutne refleksje. Korespondencję podpisali ludzie pewni poparcia swojego środowiska. Tego poparcia był także pewien Jerzy M., który wręczał rodzicom zredagowane przez kumpła z „kicia” wybielające siebie „eseje”. Trzeba nie lada cynizmu, aby pisać o prowadzonej przeciwko synowi „oszczerczej kampanii” w sytuacji, gdy sąd prawomocnym wyrokiem stwierdził winę. Zastanawiam się jednak, czy Jerzy M. i jego rodzice mieliby tyle tupepu, by powoływać się na Radę Państwa i Ministerstwo Sprawiedliwości wówczas, gdyby to właśnie chłopów, a nie Bogumiłę mieszkańcy D. uważali za sprawców szczególnie groźnego przestępstwa?

W tej sprawie, niestety, sam wyrok sądu nie wszystko jeszcze załatwił.

Janusz Hańderek

Czy tak robi panna?



Fot. JERZY ŻAK

kłm paszkwiłem na dziewczynę, paszkwiłem utrzymanym w szczególnie cynicznym tonie. Widnieją pod nim niezdarne podpisy Janiny i Wojciecha M. Gdy zapytałem matkę Jerzego M., kto napisał wysłany do prokuratora list, kobieta z rozbrajającą szczerością wyznała, że:

— Jurkowi napisał go jakiś kolega w więzieniu. Syn dał mi go podczas wiedzienia. Kazał mnie i ojcu podpisać i wysłać gdzie trzeba.

Oczywiście Janina M. w tym przypadku nie używa słowa „cygaństwo”...

Z tym gwałtem, który dla wielu mieszkańców D. gwałtem nie jest, było tak. W miejscowej remizie strażackiej odbywała się zabawa. Poszła na nią Bogumiła, poszli także Jerzy M. i Marian T. Po kilku godzinach dreptania po betonowej posadzce chłopcy zaproponowali

pować z chłopcami. Do tej pory Boguśka była zawsze równa i niech się nie opiera, bo zmieniają o niej zdanie...

Stawali się coraz bardziej natarczywi. Bronila się. To fakt. W końcu podarł jej bluzkę i stanik. Byli silniejsi i mieli przewagę. Gdy Marian zaatakował, upadła na ziemię. Pierwszy przytrzymał dziewczynę siłą, a drugi koryzystał w tym czasie z bezbronności ofiary. Potem role się zmieniły.

Wszystko odbyło się szybko i bez żadnych ceregieli. Ot, zaledwie kilka minut, które były dla chłopców „rozprężającym” epizodem. Gdy już mieli dość, otrzepali pobrudzone rękawice i wrócili do strażackiej remizy. Na tańce. Bogumiłę zostawili na mokrej trawie.

Pozbięła się i nie umiając stłumić w sobie żalu poszła z płaczem do domu. Matka i ojciec wrócili z miasta z drugiej zmiany po północy. Opowie-

Nowosadecki Magazyn Ilustrowany „DUNAIEC” — jednodniówka KW PZPR w Nowym Sączu. Zredagował zespół: Krzysztof Dobosz, Krzysztof Dybel, Elżbieta Glinka, Mieczysław Matras, Roman Morańda, Adam Ogórzalek, Marian Wasilewski. Adres redakcji: 33-300 Nowy Sącz, ul. Narutowicza 6, II piętro, telefon: 203-34. Drukowano w Prasowych Zakładach Graficznych RSW „Prasa-Książka-Ruch” w Krakowie. H-18



PKS mój widzę ogromny...

Ostatni dzień maja, ulica Lwowska róg Barskiej w Nowym Sączu. Ludzie stoją na przystanku, czekając na autobus, i obserwują następującą scenę: zajeżdża kilkutonowa ciężarówka-chłodnia, wysiada z niej dwóch dżentelmenów, otwierają pakę, po czym... wyjmują nową tabliczkę z nowym rozkładem jazdy. Przykręcają gdzie należy, zabierają starą tabliczkę, odjeżdżają.

Sama czynność wymiany tabliczek na przystankach PKS wymaga więc, jak się okazuje, zatrudnienia trzech ludzi (dwaj przykręcają-odkręcają i kierowca) oraz wielkiego samochodu ciężarowego (a że akurat była

na podorzędziu chłodnia, to już przypadek).

Znajomy instruktor nauki jazdy twierdzi, że jeszcze kilka lat temu ową tytaniczną pracę wymiany tabliczek wykonywali właśnie oni, instruktorzy, PRZY OKAZJI jazdy z kursantami. A teraz używa się do tego celu trzyosobowej ekipy i wielkiego wehikułu. Takie bzdury zwykle mają swą ukrytą logikę: podejrzewam, że tym razem chodziło o wykazanie się gospodarnością, bo własny sprzęt i ludzie są w inny sposób księgowani niż obcy instruktorzy. Może zresztą się mylę — więc niechaj PKS wyjaśni tę pomyłkę Czytelnikom.



Fot. STANISŁAW MOMOT

Wolność

Rabka, nowe osiedle. Przed domem, niewielkie zbiegowisko. Kilku mężczyzn i chmara dzieciaków stoi z zadartymi głowami, pilnie czegoś wypatrując. Patrzę w tym samym kierunku, ale nie zauważam niczego szczególnego. Ot, zwykły czteropiętrowy blok, okna pootwierane, tynk zaczyna opadać, na balkonach suszą się pieluchy.

Nagle rozlega się głośny śpiew ptaka. Teraz widzę: na trzecim piętrze, na samym czubku anteny telewizyjnej, siedzi żółta kulka. Kanarek. Pewnie przed chwilą uciekł z klatki.

Jakaś kobieta wychodzi powoli na balkon, usiłuje pochwycić ptaka. Kanarek odrzuwa, siada na gzymsie dachu. Znowu głośno śpiewa.

— Trzeba wejść na dach, złapać go — mówią stojący obok chłopcy.

— Coś ty, nie da rady. Ucieknie — odzywa się mężczyzna.

— No, chyba tak — kiwa głową chłopaczek.

— Inne ptaki raz dwa go zadziobią — dodaje drugi mężczyzna.

— Phi! Tatuś mi kupi drugiego! — ucina pogardliwie rozmowę mała dziewczynka, najwyżej siedmioletnia.

Widok z okna

Wygładam przez okno. Codziennie widywany pejzaż, osiedle Milenium. Bloki, nieco trawy, barak, bawiące się dzieci. Nieco dalej nowiutki budynek szkoły podstawowej nr 19. Za szkołą trzy wielkie prostokątne asfaltu: boiska. Jedno do siatkówki, drugie do piłki nożnej, a trzecie do czegoś tam jeszcze. Pełny komfort.

Polskie Towarzystwo do Walki z Kalectwem przestrzega od wielu lat, że asfaltowe boiska przyszkolne stanowią dla dzieci wielkie niebezpieczeństwo. Banalny upadek na takim boisku może w każdej chwili skończyć się zwichnięciem, skomplikowanym złamaniem, wstrząsem mózgu. Chirurdzy i pediatrzy od wielu lat ciepła boiska asfaltowe. Wiadomo, że bieganie po takim boisku utrwała u dzieci płaskostopie. I co? I nic.

Ja kończyłem szkołę podstawową wkrótce po wojnie, na wsi. Szkółka była parobizowa, pamiętająca austriackie czasy. Grywalismy w piłkę na pobliskim pastwisku, plosząc krowy sąsiada.

Może właśnie dlatego nie jestem dzisiaj kaleką.

Zakazy

Każdy człowiek, nawet taki kryształowy charakter jak ja (kto mnie zna, potwierdzi skwapliwie), odczuwa czasami niedoparte pragnienie popełnienia zbrodni, jakiegoś odrażającego występku, potworności, doznania perwersyjnej rozkoszy zbrukania swego jestestwa hanielnym występkiem. Co zrobić, by spełnić ów zamiar, nie narażając się na niemiłe konsekwencje? Jak zostać zbrodniarzem i nie ponieść kary?

Kto mieszka w Nowym Sączu, ten ma sprawę ułatwioną. Wystarczy udać się na dworzec kolejowy, minąć starannie zakonspirowany lokal poczy — i oto stajemy przed furtką z groźnym napisem: „PRZEJŚCIE SUROWO WZBRONIONE”. Przechodzą tędy codziennie setki, może tysiące osób, a o ile mi wiadomo, nikt jeszcze nie odpowiedział za ten ohydny czyn.

I ty możesz tanim kosztem zostać przestępcą!



MARZENIE NIEPALĄCEGO

Fot. ANTONI KROH

Afrontem do klienta

Nasz czytelnik, pan Mieczysław S., postanowił kupić sobie ławo-stół, a może stoło-kanapę (odrębność gatunków zanika nie tylko w plastyce i literaturze, ale również w przemyśle meblowym). Parotygodniowe polowanie z nagonką zostało wreszcie uwieńczone powodzeniem. Wszedł do sklepu przy ul. Kolejowej w Nowym Sączu, zapłacił, odebrał sprawną i poprosił o odwiezienie go meblowozem, stojącym przed sklepem. Otrzymał odpowiedź, że meblowóz zajęty.

— Jak to, zajęty? Przecież samochód stoi pusty, czeka na klientów.

— Ale za dwadzieścia minut ma odwieźć do biura panią kierowniczkę. Więc dzisiaj transportu już nie będzie.



Fot. STANISŁAW MOMOT



Rys. Mieczysław Olaszewski

Co nowego u grubego?

— O rany, ale ostatnio utyleś. Ty grubasie. Aleś się upasł, zacznij się wreszcie odchudzać!

Takich oto uwag musi codziennie wysłuchiwać każdy człowiek, którego wymiary różnią się nieco od norm, wymyślonych przez producentów mody i filmowców. W ten oto sposób bliźni razładowują na człowieku swe ukryte kompleksy: radują się, że nie tylko oni mają rozmaite felery.

Są to przygaduszki niedelikatne, ale również nie logiczne. Jeśli bowiem tusza jest rzeczą normalną, to nie ma o czym gadać. Jeśli zaś jest kalectwem, ułomnością — to czyż wypada mówić: „Proszę pani, gdzie pani zgubiła biust i dlaczego ma pani tylek jak komada”? Albo: „Przyjacieliu drogi, czemu masz wyraz twarzy notarycznego idioty i krostawate oblicze z oczami jak niezapominajki, pływające w spirytusie?”

Nie rozumiem, dlaczego miałbym się odchudzać. Nie mam przecież zamiaru skakać po drzewach jak pawian, ani ubiegać się o rolę Azji Tuhaibejowicza. Zresztą i ja zaczynałem jako smukły młodzieniec — i oto dorobiłem się swego sadła ofiarą pracą rąk i umysłu. Zaszedłem daleko: pisuję do „Przeglądu od krowy” (winięta głosi, że redaguję ów organ, ale to nieprawda. Ja tylko pisuję, a redaguje kto inny).

Tusza rzekomo jest sprzeczna z ideałem piękna. Bzdura. Wenus z Milo czy egzotyczne modelki Gauguina to kobitki przy kości, jak trza. Budda to jedna wielka góra sadła — zresztą do dzisiaj u narodów orientalnych, mających o wiele starszą i bogatszą kulturę niż nasza, otyłość jest synonimem piękna i ogólnego poważania. Zresztą w naszym wspaniałym XX wieku żyjemy w wiecznej niezgodzie z ideałami moral-

ności i sprawiedliwości — dlategoż więc ideal piękna miałby być wyjątkiem?

Lekarze twierdzą, że tusza jest niezdrowa. Z doktorami i milicjantami dyskutować nie należy, ale pozwól sobie tylko zwrócić uwagę, że czynimy wyłącznie rzeczy niezdrowe: mieszkamy w miastach (żle) lub na wsi (żle), gapimy się w telewizję (żle), podrążujemy PKS-em (och, żle), budujemy domki jednorodzinne (samobójstwo). Praca w fabryce jest niezdrowa, praca przy biurku jest niezdrowa, hulanka w knajpie do białego rana również jest niezdrowa. Wyrzeknijcie się, kochani, tego wszystkiego, a ja wyrzeknę się swej otyłości.

I proszę łaskawie nie obrzydzać mi jedzenia, zwłaszcza obiadów w stołówce Sądu Rejonowego w Nowym Sączu. Mam tam abonament i jestem z tego dumny.



Rys. Szymon Kobylński